



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

EMANCYPACJA KOBIETY.

Świeżo, bo w bieżącym roku, wyszła w Lipsku broszura, napisana przez kobietę, Adele Crepaz, a poruszająca kwestyą, która zdawała się już wyczerpaną i przesadzoną: kwestyą emancypacji kobiet. U nas, podobnie jak w Anglii, nie miała ona znaczenia pierwszorzędowego, ponieważ kobieta nasza nie zajmowała nigdy w społeczeństwie swoim tego podrzędnego stanowiska, jak, na przykład, Niemka, a nawet Francuzka, mimo galanterii, którą jej świadczone w salonach.

Nie było z czego emancypować się u nas kobiety, bo jeżeli kierunki pracy były tu odmienne, to nie stanowiło jeszcze poniżenia, zepchnięcia w dół; gdyż równość nie zasadza się na jednakowości, a podział pracy jest koniecznością ekonomiczną. Ale to, co się dzieje o miedzę, zawsze oddziaływało na umysły, porusza je w kierunku pewnym i nasuwa myśli, odbijające się potem na żywym życiu; ztąd też nie jest dla nas obojętną kwestyą tak zwanej emancypacji kobiety, choćby dlatego, że nie wszyscy umieją sięgać do głębi rzeczy i różnicować co odnosić się powinno do niego, a co jest tylko sprawą sąsiada. Dla tego interesować może i naszego czytelnika wspomniana wyżej broszura „Niebezpieczeństwa Emancypacji kobiety“ zwłaszcza, że autorka dobrze pojęła i uchwyciła swój przedmiot: postawiła postępek kobiety na gruncie pracy, który jako taki za dobry uznaje, ponieważ podnosi on kobietę nad to, co wyradzało wady, zwane kobiecością: nad konwencyonalność, niedostateczną znajomość życia i praw, którym człowiek posłusznym być musi pod karą wykolenia się, pod karą zejścia na życia tego poziomu niższy. Ta praca na chleb, której kobieta

klas towarzystwa wyższych wstydziła się niegdyś, skoro jej potrzebowała jako środka utrzymania, którą uważała za poniżenie, — teraz przedstawia jej się jako godność, podnosząca ją do wyższej hierarchii człowieczeństwa: do rzędu istot użytecznych i zasłużonych, a rozmaite tej pracy gałęzie, którym obecnie oddaje się z dumą i radością, zapewniają jej, obok korzyści materyalnych, ten szacunek, jaki bywa zawsze nagrodą pracy użytecznej.

Starożytność już to rozumiała. Rzymianka była otoczona w rodzinie czcią, szacunkiem wysokim, bo przedstawiała w życiu tej rodziny siłę niepodrędną, i historia zanotowała całe szeregi kobiet, które pozyskały sobie nieśmiertelność jedynie przez enoty czysto niewieście córek, matek, małżonek, matron szanowanych przez społeczeństwo. Kobieta lekomyślna i pozioma, niezdolna wznieść się do podobnego stanu uczuć i myśli, nigdy wyższego uznania, wyższego szacunku u ludzi nie zdobędzie na mocy praw swoich równości z mężczyzną. Ważność pracy kobiety w rodzinie uznawana była od wieków; o prawo jej do światła upominał się Plutarch, Arystoteles żądał równouprawnienia małżonków, Platon dowodził, iż „w wielu kierunkach życia i pracy kobieta wyżej jest uzdolniona od mężczyzny, bo dary natury są między obie płcie równo rozdzielone, i w każdej zasadniczej sprawie życia ludzkości, kobieta bierze udział taki, jak mężczyzna, tylko, że na część kobiety przypada tu nierzadko ciężar większy, bo większy móżół“.

Obie płcie są ostatecznie równe sobie. Na zasadzie danych natury: budowy ciała i fizycznych właściwości, tak mężczyzny, jak kobiety, ugruntował się podział pracy, o czym też powinno pamiętać wychowanie i, działając w myśl tego przepotężnego nakazu, nie zapominając, że zamieszanie tu wprowadzone musiałoby ludzkość opłacić kosztem tego, co jest podstawą jej równowagi moralnej. Korzyści nowego stanu są jeszcze liczbą niewiado-

ma, ale to już napewno twierdzić można, że zmienił by się cały porządek życia. Czy kobieta zyskałaby na tem i jaką-by się sama stała? to zagadka. Ze w wielu kierunkach rozwinęłaby wyższe zdolności, to przypuścić można; czy przecież nie opłaciłaby tych korzyści kosztem tego, co jest odrębnym kobiety przeznaczeniem? Wybór prac i kierunków życia, układ obyczajów i zwyczajów czyż nie jest wolnego wyboru ludzkości skutkiem — skutkiem obdaru natury i idących zatem skłonności naszych? Gdziekolwiek człowiek cywilizowany spotkał się z człowiekiem żyjącym w stanie natury, wszędzie znajdował podobny układ życia: kobietę u ogniska rodziny, kobietę u kolebki dziecka, gdy mężczyzna szukał zdobyczy, któraby była pożywieniem, i stał na straży legowiska rodzinnego. Zmiana tego stosunku musiałaby być też być przestąpieniem.

Autorka stawia tu jako przykład długi szereg kobiet wyższego umysłu, wyższej wiedzy, z których przecież tylko nieliczne wyjątki okazywały przymioty właściwie męskie, co stawało się zawsze ujemnością przymiotów właściwie kobiecych. Podział pracy, podział przeznaczeń istnieje w całej naturze, której celowość jest prawami ładu, prawami harmonii, i naruszenie tu porządku musiałoby być koniecznie okupione stratą tego, co ludzkość uważała dotąd za szczęście. Gdyby kobieta kształcona jednakowo z mężczyzną stawała do jednakowej z nim pracy, okazać-by się musiała wkrótce, z jednej strony przepełnienie, z drugiej brak; bo któżby zastąpił ją wtedy u domowego ogniska, u kolebki dziecinnej? — i w tem też kryje się niebezpieczeństwo tego ruchu, który się zowie emancypacją kobiety.

Zostawiając na boku to, co uczony niemiecki, prof. Waldeyr, dowodzi: iż obecnie sądzić jeszcze nie można o równości przymiotów umysłowych kobiety i mężczyzny, bo aż dotychczas wyjątkowo tylko kobieta występowała na tę arenę, gdzie porównanie nastąpić może, — zapytać trzeba: kto

w każdym razie zastąpi kobietę ową w pracy u domowego ogniska, i czy kształcenie jej w kierunku takimsamym, jak mężczyzny, odpowiadać może zadaniom jej życia — czy kobieta wobec owego kierunku będzie umiała, będzie mogła spełnić swoje obowiązki niewieście? Tu więc brakować jej będzie, gdy z drugiej strony wytworzy się smutna konkurencja pracy: walka o nią, toczona między kobietą i mężczyzną. Brak pracy, ma tu jedno ze źródeł swoich, ze źródeł swoich niepoślednich, i już to nie raz pierwszy podnosi się głos zapytujący: czy konkurencja kobiety, stawiana mężczyźnie w pracy, wychodzi na dobre, tak społeczeństwu, jak jej samej? Mężczyzna zarabiający mało nie żeni się, zostaje więc samotnym, podobnie jak ta, która wobec innych warunków jego życia była mu życia tego towarzyszką i kochanką. Jest zatem dwoje ludzi wykończonych, pozbawionych najśrodszych uczuć — pozbawionych najwyższego na ziemi szczęścia: podziału uczuć i wzajemnego o siebie oparcia. Nie zakłada się jedno z tych ognisk, przy których grzeją się duchy, przy którym wychowuje się dziecko, dziedziczyć mające spadek przekazanych mu uczuć i ideałów. Zmniejszona liczba małżeństw jest, według słusznego zdania autorki, jedną z najcięższych klęsk naszej epoki.

— Małżeństwo jest korzeniem i wierchołkiem wszelkiej kultury... powiedział Goethe: — Jest źródłem uczuć najśrodszych, zespoleniem najdoskonalszym serc i losów ludzkich. Autorka dowodzi też na zasadzie następnych wywodów Goethego, że tak kobieta jak mężczyzna otrzymują tu przez wzajemne oddziaływanie najlepszą edukację serca i podbicie przezeń wrodzonego egoizmu człowieka, do czego życie we dwoje zmusza niejako. Do najcięższych klęsk naszego wieku zalicza też ona ową emancypację kobiety, która jej każe przybierać sobie, wraz z nową formą życia, konieczne jej tu potrzebne właściwości męskie, a skazywać na zatracenie to, co, tkwiąc w naturze kobiety, wpływałoby na mężczyzn, łagodząc surowsze strony natury męża, udzielało kobiecie coś z dzielnych cnót jego i było dobrą edukacją obojga, — obojga szczęściem.

Że kobieta może wyemancypować się z kobiecości swojej, — jest nam przykładem Amerykanka. Wprawdzie umie ona po-mężku w życiu sobie radzić, ale życie owo tak jest ułożone, że nie w niem darmo się nie otrzymuje. — Taki świat: kwiat za kwiat... i kobieta, która się wyzwala z kobiecości swojej, już nie może być mężczyzną nie tylko tak słodką kochanką i życia towarzyszką, jak ta dawna, która przez właściwości niewieściej swej natury była dopełnieniem jego natury męskiej, ale nie wywiąże się z obowiązku swego w małżeństwie i, nie wnosząc w to życie we dwoje ideału, nie mu właściwie nie da, a nawet wskutek tego odejmie. Boerne spotyka się też tutaj z poetą naszym, gdy woła: „Świat nie nie daje darmo... Musisz mu się opłacić nie tylko tem, co masz, ale gorzej jeszcze: tem, czem jesteś...”. Kobieta istoty swojej niewieściej wszystkie szlachetniejsze przymioty utraci, gdy tu nie nie wnosi na pomoc życiu męża, i o tej-to można powiedzieć, że jest bezposadną.

(Dokończenie nastąpi).

FRAGMENT.

Pamiętasz chyba, jak mówił z zapalem, Żeś ty mu chęci do życia wróciła Żeś ty aniołem jest dla niego białym, Że w twym spojrzeniu — jego natchnień siła, Że cię gorąco kocha sercem całym, Żeś mu nad wszystko i droga, i miła, Żeś myśli jego panią i królową, Że on przez ciebie zacznie żyć nanowo...

Pamiętasz chyba... Zachodziło słońce, Na ziemię zwolna mrok już spływał szary... Szeptal ci zeicha wyrazy gorące, A w przyszłość patrzył wzrokiem pełnym wiary... I słowa jego, niby szczęścia gońce, Świat ten w tak cudne przybierały czary, Że życie ci się wydawało rajem — Kochałaś, szczerze kochana nawzajem.

Pamiętasz chyba złote sny tęczowe, Któreście razem marzyli we dwoje... O jego ramię wspierałaś swą głowę, I w jego dłonie kładłaś ręczki swoje: A on przed ciebie myśli rzucał nowe, W marzeń cię swoich wtajemniczał roje, — W młodzieńczą wiarę i zapal bogaty, Wielkich idei wskazywał ci światy.

Pamiętasz chyba... Dziś — co się z nim stało? Gdzie się podziały złote sny, marzenia?... Życie mu czoło bruzdami zorało, Strzaskało skrzydła zapalu, natchnienia. O! Ty wiesz jedna — on cierpiał niemało: Te straszne bruzdy — to ślady cierpienia... O! Ty wiesz jedna, ile kart boleści Niewielka księga jego życia mieści!

Więc nie odwracaj od niego swej twarzy, Choć już mu oczy zapalem nie płoną, Choć już, jak dawniej, złotych snów nie marzy, I świętym ogniem nie wzbiera mu łono. W twem ręku może jego los się waży, — On szedł przez życie z cierniową koroną, Przedwcześnie z marzeń wyzuty, złamany, — I nikt balsamu nie kładł mu na rany...

Nad ziemię chciał się wznieść orlemy loty — Życie mu śnieżne pokrwawiło pióra; Pragnął w czyn wcielić sen młodości złoty, — Na czoło jego dziś zwątpienia chmura; Długo bez ciebie umierał z tęsknoty, Zwiędło mu serce, wyschła, żółkła skóra... Więc nie odwracaj od niego swej twarzy, Choć już, jak dawniej, złotych snów nie marzy!...

Selim.

PIERZCHLIWY PTAK

POWIEŚĆ

przez

Kazimierza Glińskiego.

(Dalszy ciąg).

Zaledwie świt niebo pobielił, już pana Zygmunta w domu nie było. Zdziwiła się Zosia, zobaczywszy tak wcześnie puste łóżko męża, który nie należał do liczby zbyt gorliwych gospodarzy i lubiał się wyręczać przez rządzących ekonomów z folwarków przyległych, zostających pod naczelną władzą pana Rafała Bajbosiewicza, mieszkającego w Ogarówce. Bajbosiewicz wydawał rozkazy na cały tydzień, dzień sobotni był przeznaczony na zjazd ekonomów z dwóch wsi sąsiednich, poczem każdy, z gotowymi już planami, wyruszał do siebie, oczekując tylko niespodziewanych i niezawsze pożądaných wizyt głównego rządcy. Po wydaniu stosownych rozporządzeń Bajbosiewicz, nie tyle z konieczności, ile z przyjętego oddawna zwyczaju, zachodził do pana Zygmunta i zdawał sprawę z zarządzonych i dokonanych już czynności. Czasami jednak, nie mając nic lepszego do roboty, Skalski zachodził wieczorami na ogólną ekonomiczną naradę, ale nie mieszał się prawie do niczego, potakując zawsze,

zwracającemu się do niego, Bajbosiewiczowi. Niegrzeszył więc rannem wstawaniem, ani przepędzaniem zbyt długiego czasu za domem przy gospodarstwie. O godzinie ósmej przeciągał się jeszcze w wygodnym sprężynowym łóżku, następnie udawał się do gabinetu na kawę, którą spijał powoli, odczytując przywiezione z poczty gazety. Zosię zastawał już ubraną w ranny szlafroczek, zbierającą mu piękny kożuszek ze śmietanki, witającą uśmiechem i szczebiotaniem ukochanego pana męża. Tak bywało dotąd — wcześniejsze więc dziś wstanie Zygmunta, jeżeli nie zaniepokoiło, to zdziwiło Zochnę.

Jednym skokiem zerwała się z łóżka, ubrała się szybko, bujne warkocze zawinęła z pośpiechem na głowie i przykryła błękitnym czepeczkiem, w którym pierwszy raz poślubiła stanęła przed mężem i przebiegając pokoje, wpadła jak strzała do gabinetu jego. Ale w gabinecie nie było nikogo; prawdopodobnie nie zachodził tu nawet, bo sporo gazet z nietkniętymi opaskami leżało na stole i nie nie mówiło o czyjejkolwiek bądź bytności. W przyległym salonie tylko sprzątał Grzegorz, mrużąc pacierz półgłosem; słychać było uderzenia ścierki po meblach i urywane słowa modlitwy. Zosia zwróciła się do drzwi, zza których dochodził monotony głos starego sługi, otworzyła je szybko i na progu stanęła.

— Gdzie pan? — spytała.

Grzegorz podniósł głowę, ścierkę trzymaną w ręku na płeć zarzucił i patrzył chwilę, jakby nie rozumiał dobrze pytania.

— Grzegorzu, gdzie pan? — powtórzyła Zosia.

— ...ale nas zbaw ode złego, amen! — dokończył stary.

— A, modliłeś się, przepraszam! — odezwiała się pani, robiąc ruch, jakby cofnąć się chciała.

— Już się „amen“ powiedziało, to i mówić można — zaczął Grzegorz, zgarniając z tyłu głowy na skronie resztkę siwiejących włosów. — Jaśnie pani pyta o pana?... ba! I mnie się dziwno zrobiło, że tak jakoś pan wstał i poszedł gospodarstwo obejrzeć. Prawda, że od trzech miesięcy jaśnie państwa nie było, to może i jest co zobaczyć, bo choć pan Bajbosiewicz gospodarz akuraty, zawsze własne oczy lepiej, niż cudze, dobrą swojego dopilnują.

— Kto kawę panu przygotowywał?

— Nikt — pani spała, a Pierna...

Coś mu w gardle stanęło i nie pozwoliło dokończyć.

— Nie wiecie dokąd się pan udał? — spytała Zosia.

— Pewnie do młockarni, bo to dzisiaj pierwszy mróz mamy, to ziarno sypać się dobrze będzie, a pan Bajbosiewicz za dobrą cenę żyto sprzedal, byleby tylko prędko wymłócić i kupeom na czas oddać.

Zosia zbliżyła się do okna.

— Mróz! — odezwiała się, patrząc na ziemię szronem okrytą.

— Będzie i śnieg — dokończył Grzegorz, podnosząc głowę i patrząc na niebo, przez które gęste, szare przesunęły się chmury. — O! — ciągnął dalej — rozechodzą się kłębkami, niby dym lukki, i tylko patrzeć jak białe kłaczki spadać zaczęły.

Zosia wróciła do swojego pokoju, kazała służącej podać futerko i ciepły kapturek na głowę i, napominając, by kawa była gotowa, gdy pan przyjdzie, wybiegła do ogrodu, kierując się w stronę zabudowań gospodarskich.

Szła szybko, niepokój malował się na jej twarzy. Dlaczego niespokojną była, nie wiedziała sama — wiedziała tylko, że jest rozpieszczonym dzieckiem, któremu przykrość wyrządzono.

Minęła park i weszła na terytorium warzywnych ogrodów, które przedstawiały smutny obraz zniszczenia. Kupy liści wpół przegniłych i zmarzłych miały wygląd zaniedbanych mogiłek; głębokie jamy po burakach i marchwi pokryte były cienką powłoką lodu, pękającą jak szkło pod najlżejszym naciskiem stopy: wytryskiwała z nich woda mętna i zimna; Zosia musiała krok zwolnić, by się nie poślizgnąć i podniesionej nie obryzgać sukienki. Miejsce tu było przestronne, bo park za nią pozostał — więc wiatr swobodnie hulał, strząsał resztkę liści z drzew i klekotał w obnażone gałęzie. Smutnym jej się wydał ten głuchy powiew wiatru, niosącego białą zimę na swoich skrzydłach; żalobnego

coś w sobie miały rozkopane grzedy ogrodu, obramowane białym haftem szronu; przykrym szelestem szumiały drzewa za nią, a drobne ostre ziarenka śniegu, które przelatywać zaczęły, były ją w twarz i kłóły jak igły. Otuliła się szczelniej futerką, przeszła oślizgłą kładkę przez kanał rzuconą i zbliżyła się do muru, który park od zabudowań gospodarskich oddzielał.

Zdążyć już było słyhać przytłumiony klekot młockarni. W mroźnym powietrzu rozechodził się huk bębna, który gniewnie targał podawane snopy i czasem basem zawodził, czasem jęczał przeciągle, to nagle skalę tonów zniżał i warczał urywanym głosem, jakby kasał i szarpał nierówno rzucane mu snopy.

Zosia przyspieszyła kroku, otworzyła furtkę głęboką w murze ukrytą, za którym wznosiły się śpiżnice i stodoły i szyte, jak chaty, ogromne sterty zboża. Bęben furczał z całej siły; słyhać było nawoływanie parobków poganiających konie i wiecznie niezadowolony głos ekonomiczny.

— Równo! równo, bo cepy kłosów nie wybija... A ty czego dziób rozdziawiałaś, wrono?—snopy podawaj!... Maryna! nie chwiej się jak kaczka wtedy i owędy, na jednym miejscu drepząc, bo cię pociągnę tym paskiem, kanaliu!

Zosia weszła do środka murowanej stodoły, cień jej zarysował się w drzwiach szeroko rozwartych i zwrócił uwagę Bajbosiewicza.

— A! co ja widzę? i jaśnie pani do nas przychodzi.

— Dzień dobry, panie Bajbosiewicz! Jakże robota idzie?

— Jak zawsze u mnie, to znaczy: dobrze!—odezwał się pan Rafał, podnosząc nieco ramiona i chrząkając znacząco, co zadowolenie oznaczało.

— Niewiele zboża mamy—mówiła Zosia.—Letnie upały spaliły prawie wszystko na pniu.

— To prawda, ale z przeszłego roku ładnych stert dziesięć pozostało. Pieniądzy będzie niemało, bo teraz drożyzna, że niech pan Bóg uchowa jak! A mąż jasnej pani chciał koniecznie pod jesień zeszłego roku zboże sprzedawać, bo niby ceny spadać zaczęły, ale ja miał wdech, gdym mówił: nie sprzedawać! i Kalifornia teraz poprosi!

— Straszny rok mieliśmy!—zawołała Zosia.

— Bo i choroba dużo ludzi pobrała — dorzucił Bajbosiewicz, — chłopstwa zginęło co nie miara, a nawet i jeden szlachcic, Pafnucy Czartopiński, kipnął, co już szkoda. Zabierało choróbsko kogo spotkało tylko!

— I wszystkich-by zabrało—odezwał się za plecyma pana rzadcy chłop stary, wlokąc dwa snopy za sobą—możeby i żywej duszy już nie było, gdyby nie pan Korabiec!... Oto pan!

— Niech jemu Bóg da królowanie!

— Wszystko co w ziemi i na ziemi!

— Oto pan! — odezwały się z różnych stron głosy.

Wszyscy w chór jeden uderzyli, o Korabiecu wspomniawszy.

— Słyszałam — szepnęła Zosia — i — musicie wdzięczni mu być!

— Każdy za niego w wodę i w ogień! — huknął Bajbosiewicz.

Wspomnienie o zarazie minionej straszne było, lecz przypomnienie o czynach poświęcenia Korabieca widocznie miało niezwykle jakiś urok u pracujących, bo, porzuciwszy na chwilę roboty, zaczęli sobie niejako przypominać. Włościanin ciągnący snopy do maszyny na ziemię je rzucił i, mówiąc o panu Michale, zapalił się, co chwila mu życząc królestwa niebieskiego. Tam kobieta o zwiędłym a spracowanym obliczu zatrzymała się, i wsparta o grabie, mówiła o strasznej chorobie, która jej dwoje dzieci zabrała, lecz gdy trzecie zachorowało, nadbiegł pan Michał i umrzeć munie dał. Tu parobczak, który się zbliżył do pani i w rękę ją pocałował, zaczął opowiadać o Korabiecu, jak go z rąk śmierci niedobrej wyrwał, a gdy, przedtem ojeść jego *położyli się* na wieczne niepowstanie, a pochować nie było o czem, on na trumnę i na podzwonne dał. Pan Michał nie schodził z ust; życzono mu królowania w niebie i szczęścia wszelkiego na ziemi. Kilka nawet prawdziwych cudów dokonał, jak święty jaki.

— Nie nosiłaby już mnie ziemia święta, gdyby nie on!

— Makryna-by na mogiłki nie poszła, gdyby on był przy niej!

— Daj mu Panie królestwo niebieskie!

— Oto pan!—brzmiały głosy dokoła, przeplatane westchnieniami, to ocieraniem łez siłą wspomnień wywołanych.

Zosia słuchała ze spuszczeniem oczyma, jak przedtem chwilę pan Zygmunt słuchał hymnów pochwalnych, niecierpliwie przegryzając wasy. Od dawane pochwały Michałowi zdawały się być wyrzutem wprost do nich.

Młockarnia przestała furczeć, dygotało tylko coś w próżni, bo nie nagłone konie zwolniły kroku. Kto wie, czy i one nie czuły w tej chwili wdzięczności dla Korabieca.

— Do roboty!—huknął Bajbosiewicz — a to wam pół dnia odliczę... Bisurmany!

Parobcy skoczyli.

— Wio, het!—dało się słyszeć; rozpędowe koło poruszyło się z poważnym hukiem, zaterkotały tryby, machina w żelazne uściski chwyciła snopy i znowu grzmiała, jęczała i warczała...

Bajbosiewicz zwrócił się do Zosi.

— Bez huku, jasna pani nie! Do samego wieczora gadaliby o panu Korabiecu, tak im do serca zajechał. Prawda, że dużo on zrobił, nawet i mnie od nieszczęścia wybawił, którym, się już był zaopatrył w Przenajświętsze Sakramenta na drogę ku chwale niebieskiej. Co to było! co to było! Ludzie marli jak muchy i nie wiedzieli, co robić, głupieli poprostu, nawet i ja! (uważa, jasna pani?) taki strach był. Ale pan Michał (nie chcę niczego złego przypuszczać) ani lęku, ani strachu nie miał. Choroba go nie dotknęła, choć on wszystkich dotykał... Ksiądz proboszcz mówił, że łaska Pana Boga z nim była—a ja wiem co?... Czy to łaska Pana Boga—czy?... Boże odpuść!

Ludzie powrócili do przerwanych zajęć, lecz Bajbosiewicz wpadł w ferwor opowiadania i za wszystkich już rzecz prowadził.

— Czy męża mojego niema? — przerwała Zosia nagle.

— Był, jasna pani, ale poszedł stadninę obejrzeć.

Zosia zawróciła się szybko i poszła do miejsca wskazanego przez Bajbosiewicza.

— Jest pan?—spytała formalna.

— Tylko co wyszedł.

— Dokąd?

— Zdaje się co do pana Korabieca, bo poszedł wtedy, het prosto — wskazał ręką przed siebie.

Zosia stała chwilę. Miała szczerą chęć zajrzenia do pana Michała, ale wczorajsze słowa nieogłędnie przez męża rzucone, powstrzymały ją od powziętego na razie zamiaru. Nie zostawało jej nic innego jeno wrócić do domu.

Mróz zelżał, ziemia już dobrze była przysypana śniegiem, gdy Zosia przestąpiła próg salonu. W jadalnym pokoju zegar dzwonił wydzwonił — w gabinecie pana Zygmunta stał już imbryczek z kawą, przez służącą przyniesiony.

— Pan wrócił?—spytała Jagusię.

— I, nie widział — odparła wzruszając ramionami dziewczyna.

Zosia kazała wziąć kawę napowrót, zagłębiła się w fotelu i na męża czekała.

Jedna i druga upłynęła godzina, lecz Skalski nie przychodził. Zosia uczuła się podrażnioną raz pierwszy od zamążpójścia; przeszła do saloniku, usiadła przy krosnach, czyniąc postanowienie ukarania niegodziwca.

Pan Zygmunt tymczasem, wstawszy o świcie prawie, do młockarni się udał, gdzie musiał całej litanii o Korabiecu wysłuchać; do stajen zaszedł, zaszła do wszystkich kątów z wielkiem zdziwieniem Bajbosiewicza; marudził, zrzędził potrosze, wybuchnął nawet gniewem na karbowego. Po kilka razy zapytywał o jedno, w roztargnieniu brał radło za pług, wreszcie, obojętnie wszystko i nie widząc, skierował się drogą do dworu prowadzącą, lecz się wstrzymał nagle i, w przeciwną zwróciwszy się stronę, udał się prosto do zagrody pana Michała.

Nie miał wcale zamiaru odwiedzenia Korabieca, lecz chciał, o ile możliwości, odwlec swój powrót do domu. Jakiś wstyd go odpędzał od progów tych,

gdzie tak niedawno brzmiał śmiech wesela, a szczęście w dłoń biło.

Wtem wstrzymał się w połowie przebytej drogi.

— Do licha!—mruknął — czy nie jestem panem siebie i swoich postępów?... Uciekam, jakbym się bał—tam—czegoś... Cóż to? nie mam woli postąpić jak mi się podoba? uczynić zadość swojemu sercu, które tak gorąco w mej piersi zabiło?... Zresztą nikt nie wie...!

Zawrócił ku domowi.

— Tylko—szepnął, przystając—te uściski Zosi, są mi dziś tak męczące...

Przygryzł wargi.

— To ognisko domowe może czasem znużyć. Czyż za jego obrębem pełniejszego szczęścia znaleźć nie można?...

— Można! można!—zawołał—i ja je znalazłem!... Żony nie rzucę, tylko swoje serce rozdwoję!...

I znów w przeciwną stronę skierował kroki.

Bezmyślnie szedł przed siebie, co chwila brew ścierał i targał niewinnego wasa.

Nie spostrzegł, jak się znalazł u wrót zagrody pana Michała. Korabiec stał na ganku, zwrócony twarzą ku alei lipowej, był bardzo blady i bardzo smutny, lecz jakiś spokój zwyciężki malował się na jego twarzy. Zygmunt spostrzegł go dopiero, gdy we wrotach stanął: cofnąć się nie było można.

Wszedł na dziedziniec.

— Witam sąsiada! — odezwał się Michał, schodząc do niespodziewanego gościa.—Czemuż zawdzięczam tak ranną wizytę?

— No!—zawołał Skalski, przez zęby nieco, wyciągając dłoń do uścisku. — Chciałem powitać bohatera.

— Bohatera? cóż to za zagadka?

— Zagadka?—odparł Zygmunt, siadając na ławce w ganku. — Od dwóch godzin nie innego nie słyszę, tylko pochwały na cześć twoję wygłaszane. Maćki, Bartki i Kaśki euda o tobie gadają. Brak wieszca tylko, a moglibyśmy mieć wspaniały poemat!

Szarpnął wasa, obcasem o podłogę stukając.

Korabiec się uśmiechnął.

— Niefortunny byłby temat do epepe — odpowiedział.—Niewielką wyświadczyłem przysługę, a oni myślą, że nadzwyczajnych czynów dokonałem.

— Narażałeś się przecie!—rzucił Zygmunt z odzieniem przekąsu.

— A gdybym się zamknął u siebie, czy toby co pomogło, jeżeliby przeznaczenie na mnie swój wyrok wydało? Kogo zresztą miałem oszczędzać? Siebie?... Ech! — rzucił ręką—niema o czem mówić. Wolę się dowiedzieć: jak tam ty czy wczas przepędzaliście?

— Wybornie!—zawołał Zygmunt.

Oczy mu błysnęły—widocznie miłym było przypomnienie gościny u szambelana.

— Czy i pani Zofia zachwycona wujem Denis?—spytał jakby od niechcenia Korabiec.

— Mogłoby być inaczej? — ciągnął, zapalając się Skalski.—Szambelan przyjmował ją jak udzieloną księżnę, na każde zawołanie był przy niej, starał się, by niczego w przyjemnościach jej nie brakło. Ech! niech sobie co chcą mówić, ale ten świat wyższy ma dziwnie pociągający czar w sobie!...

Korabiec lekko przymrużonymi oczyma patrzył na Zygmunta, którego policzki rumieńcem się oblały a usta wyrzucały słowa zachwyty. Obojętnemu mu było, że Pierski zawiądnął całkowicie umysłem Skalskiego, lecz wspomnienie o Zosi, zostającej po wpływie szambelana, ostrzem sztyletu ukłóło go w serce. Była to chwila tylko; Zygmunt mówił za siebie i za Zosię: ona-by nie podzielała uniesień męża.

— Czy liczne było zebranie w Brzezynie? — spytał po chwili.

— Ogromny zjazd, sama śmietanka! zakończył przyjęcie bal trzydniowy.

— Na którym, oczywiście, królowała pani Zofia...

— No, nie... Widzisz bo, — dodał szybko Zygmunt.—Zosia trochę odwykła od towarzystwa salonów. Ta wieś jest grobem dobrych manier.

— Zdaje się, że żonie twojej na nich nie zbywa?

— Zapewne! ale znów tak zaślepiony w żonie swojej nie jestem, ażebym wszystko dobre i piękne, jej tylko przypisywał. Wyznać muszę, że perłą towarzystwa była...

— Pani Natalia — dokończył spokojnie Korabiec.

— Znasz ją? — zapytał szybko Skalski.

— Spytaj, kto jej nie zna — no! nie tu, ale w Wiedniu, Berlinie, Paryżu...

— Jak uważam, to mówisz o niej tonem... lekceważenia?

— Ja?

— Jużci, że nie ja! — parsknął Zygmunt.

— Aaa!... — jakieś dziwne, zdziwieniem, zapytaniem, domysłem mglistym nabrzmiałe, wypadło z ust Korabieca.

— Co to: aaa! ma znaczyć? — zawołał porywczo Zygmunt.

Michał badawczy wzrok utkwiał w źrenicach Skalskiego.

— Jaśniej, panie Michale! — nalegał Zygmunt. — Ona jest dobrze widziana w domu mojego wuja.

Korabiec zmuszony był tłómaczyć się.

— Mówią — zaczął.

— Co? co? co? — co mówią?... — przerwał Skalski. — Że porzuciła męża? a wierz ty co to za mąż był, że może romansuje? o! słowa nie nie kosztują. Znam ja te zacne języki ludzkie, spojrzenia zezem patrzące, które i na słońcu plamy chcą widzieć!

— Niestety! — westchnął Michał — dostrzeżono i na niem piętna ciemne!

— Ze młoda, piękna, bogata — ciągnął dalej, unosząc się Zygmunt — to ludzka zazdrość usnąć spokojnie nie może! Że nie dla każdego dostępna — ztąd zawiść! A jednak szaleją — tylko, że szaleją... napróżno! — dodał z przyćmieniem. — Nie znają jej i plotą duby smalone! Niedojrzałe winogrona — dla nich! — dokończył z odcieniem dumy.

Twarz Korabieca, podczas rzucanych namiętnie słów przez Zygmunta, zmieniła się dziwnie. Jakieś nerwowe drżenie przez nią przeszło: zapaliła się silnym rumieńcem, następnie bledością się pokryła. Korabiec bał się domysłów, które mu się nasuwały za każdym słowem Skalskiego; odtrącał przypuszczenie zdrady ze strony Zygmunta. A jednak?... gdyby to nastąpiło?... wtedy — może... Precz myśli szatana! precz zła fala, przepływająca przez mózg człowieka bez jego woli, wydobyta z głębin tajemniczego oceanu, spoczywająca gdzieś na dnie burzy, gdzie urabiają się perły cudownej piękności i zjadliwe się płodzą skorpiony.

— Panie Zygmuncie! — odezwał się po chwili, gdy Skalski umilkł. — Sądzę, że pomimo przyjemności, jakimi obdarzał was wspaniały Brzezin szambelana, radzi jesteście, żeście powrócili do swego gniazda, do zwykłych zajęć, do tego wszystkiego wreszcie, co stanowi główną podstawę waszego życia i szczęścia.

Poważne, spokojnie wymówione słowa Korabieca strumieniem zimnej wody spadły na rozpaloną Zygmunta głowę.

— Tak, tak! — wybąkał — naturalnie, tak!

— Tu lepiej, ciszej, święciej! — dodał Michał.

Głos jego się zniżył, wzrok pobiegł w dal lipowej alei, na której się kładły, białe jak puch łabędzi, duże płatki śniegu.

— Zima! — szepnął jakby do siebie. — Dla mnie wieczysta zima! — dodał w duchu.

Wstrząsł się.

Zygmunt siedział z pochyloną głową ku ziemi, obeasem stuknął o podłogę i co chwila czolo marszczył. Korabiec zwrócił się do gościa.

— Anim zauważył, że tak długo zatrzymał ciebie na chłodzie. Może zechcesz zająć do mnie — i wraz ze mną wypić szklankę kawy?

Skalski wstał i zdawał się namyślać.

— Proszę! — rzekł Michał, otwierając drzwi do sieni.

— A, dobrze! — odezwał się Zygmunt. — Wyszedłem bardzo rano, chcąc gospodarstwo obejrzeć i dotąd nie w ustach nie miałem. Jestem jakiś nie swój, brrr! nie znośię zimy...

— Ja ją lubię.

— Że jest obrazem śmierci?

— Nie! obrazem spokoju. Kwiaty, które nie mogły się w piękny kielich rozwinąć, krzewy przedwcześnie więdnięjące, dęby strzaskane i przez

wiatr w proch rzucone — pokrywa całunem białym, darzy spokojem i ciszą... I lepiej tak! tym odtrąconym! Proszę! — rzekł, wskazując ręką na drzwi.

Weszli do sieni, z której drzwi nalewo w pół otwarte były. Skalski w dawnym salonie Korabieca dostrzegł kilka szeregów ławek, w jednym rogu stała czarna tablica, na ścianach wisiały mapy i kartony z początkowymi liniami rysunków. Lekki uśmiech poruszył mu usta — zwrócił się do gospodarza.

— Szkoła?

— Tak!

— Słyszałem, że uczysz chłopskie dzieci?

— Mam tyle wolnego czasu, że postanowiłem go zużytkować.

— Zdolnych masz uczniów?

— Patrz! — rzekł Korabiec, podprowadzając Zygmunta do rozwieszonych kartonów. — Z tych dobrze rysowanych brył i linii, nawet konturów liści drzew rodzimych, możesz sądzić o postępach mych malców.

— I wytrwałości nauczyciela — dodał Zygmunt. — Ale, powiedz mi, — na co to wszystko potrzebne?

— Wierz mi — odpowiedział Michał — że w niejednym z tych rozbawionych dziś łobuzów rozwinię się zamiłowanie do sztuki. Zamiast kreślić niezgrabne karykatury na piasku, będą woleli na papierze węglem rysować drzewo, chaty i gniazda bocianie. Gdy zrozumieją dlaczego to drzewo, chata, to gniazdo bocianie jest piękne, więcej do nich swem sercem przylgną. A kto wie, czy i później nie będą przekładali rysunku nad marnowanie drogiego czasu przy stole karczemnym? Sztuka ma równie pociągający w sobie urok...

— Jak dwór brzeziński — dokończył Zygmunt ze śmiechem. — Cha, cha, cha! urośniesz jeszcze wyżej w oczach mojej żony, jeżeli kiedy szkołę twoję nawiedzi.

Korabiec się poruszył.

— Czy pani Zofia ma mi co do zarzucenia? — zapytał szybko.

— Przeciwnie! przeciwnie! — zawołał Zygmunt. — Gotowa jest sama do twego się cecchu zapisać. Wczoraj nawet otrzymałem wymówki od niej, że przed tyfusem umknąłem z domu. Powinienem być zostać i szpital u siebie założyć, ciebie zrobić lekarzem, ją siostrą miłosierdzia, a samemu — no! felezerem być przy was!...

Zaczął się śmiać...

— Nie żartuj! — szepnął Korabiec. — Ty inaczej postąpić nie miałeś prawa; ja — co innego! Obowiązków żadnych nie mam!

Zamyślił się. Przed nim przesunęła się postać Zosi z uśmiechem na koralowych ustach, fijołkowymi oczyma patrząca na niego.

Ona-by mnie zrozumiała! — szepnął w duchu.

Przeszli do jadalnego pokoju, gdzie ranny posiłek czekał na nich.

Usiedli naprzeciw, ale rozmowa się nie wiazała. Obaj daleko byli myślami od siebie. Zygmunt na palcach przebiegał salony brzezińskiego pałacu, myśl Korabieca była znacznie bliżej. Tamten się zapalał do swych marzeń, gorączkowo rwał nici przedziwa, chcąc prędzej tajemniczy węzeł rozplątać; ten snuł je spokojnie — wiedząc, że nie już do rozwiązania nie ma, bo wszystko już było rozwiązane dla niego.

Wyodróżniono kubki białej kawy, kredensowy chłopiec dawno zebrał naczynie, lecz pan Zygmunt nie śpieszył z odejściem. Czas upływał szybko; na starym zegarze pana Michała uderzyła dwunasta. Równo z wybiciem tej godziny dały się słyszeć przed domem zmieszane głosy dziatwy spieszącej do nauki.

— Stach! a umiesz ty jeografią?

— Ojej! do Gdańska-by tą Wisłą pojechał, prawego się brzegu trzymając, a pewnikiem nie zbłądził!...

— Prosto-byś do Petersburga zajechał i tyło!

— Nie zwracaj ta głowy Jantek! Niby to ja nie wiem, że Wisła tam nigdy nie popłynie... Lewego się brzegu trzyma i do Bałtyku jak w dym!

— A jakże ty do Gdańska pojedziesz, prawicy się trzymając? — zaśmiał się głos inny.

— Głupi ty Bartek, kieć nie wiesz, jak się z wodą sprawować potrzeba.

— A ja ci powiadam, że i lewo i prawo się trzymając, pobiłdźć można, bo różne rzeki do Wisłki płyną a każda dwa brzegi ma. Zgadnij teraz w jaką skrócić potrzeba!... Płyn środkiem, to akuratnie na morze szerokie trafisz, gdzie Gdańsk, przez Pludry na Danecyg przechrzcony, przy brzegu siedzi.

— Jaki ty mądry, kiedy i o pludrach wiesz!

— Abo nam pan Michał o rozmaitych paskudztwach nie gadał — co?

Śmiech buchnął; malcy, otrzepując buty i sukmaniki ze śniegu, z harmiderem wielkim wtoczyli się do sieni.

— Szkoła nasa — odezwał się jeden.

— Gdzie pan Michał rozum nam do głowy pcha, który Jankowi zawsze kołnierzem na wierzach wylezie!

Znów śmiech buchnął.

— Ocho! ssy! — mitygował chłopców starszy wśród nich. — Pan professor w szkole śmiechów nie lubi.

Zapanowało milczenie; malcy zajmowali na ławce miejsca dla siebie przeznaczone; czasem ten to ów zaśmiał się, ale widocznie w kulak, bo bardzo cicho.

Korabiec powstał.

— Wybacz — odezwał się do Zygmunta — mój czas nadszedł. Dzisiaj, z powodu kościelnego święta, mieli rekreacyą do południa. Msza się skończyła: są wszyscy!

— Wypraszasz mnie? — zawołał Zygmunt z uśmiechem.

— Obowiązek! — rzekł Michał.

— A ja właśnie chciałem prosić ciebie, żebyś wraz ze mną zaszedł do nas na obiad. Właśnie obiadowa godzina.

— Dziękuję ci, ale korzystać z łaskawych zaprosin nie mogę!

— Dziwactwo! Chodź, proszę cię a malców odpraw — i kwita! Bardzo rad będę widzieć cię dzisiaj u siebie. Potrzebuję nawet twojego towarzystwa, no! i Zosia powita ciebie najszczyerzej.

— Nie mogę — szepnął Korabiec — choć byłbym bardzo rad być u was!

Podał Zygmunтови rękę.

— Poczekaj! — odezwał się Skalski — ja ich zaraz wyprawie!

— Stój! — zawołał Michał, zatrzymując Zygmunta za ramię. — Przykładem być muszę dla nich we wszystkim, a na pierwszy planie stawiam wypełnienie obowiązków.

— Dobrowolnie przyjętych.

— Tem świętszych; nie zmuszał mnie nikt.

— Nieznośnym się stajesz ze swoją pedanterią!

Zygmunt pożegnał Korabieca i niechętny krok ku domowi skierował.

Michał wrzaskliwym okrzykiem przez gromadkę wiejskiej dziatwy powitany, zasiadł na podniesieniu. Zaległa cisza — po chwili odezwał się donośny głos nauczyciela, przerywany niekiedy zapytaniem małych słuchaczy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z MENTONY.

Dnia 15 Kwietnia.

Wzamian za wieści z kraju, które *Bluszcz* mi przynosi na rozkoszne wybrzeże Śródziemnego Morza, przesyłam jego czytelnikom szkic uroczego obrazu, który mnie tu otacza w pełni wdzięków już włoskiej przyrody wiosennej. Droga, którą dojeżdżałam do Mentony, wysadzona jest z jednej strony szpalerem pomarańczowych, cytrynowych drzew o złoistych owocach, rysującym się na siwo modrem tle oliwnych sadów, pnących się po stokach gór, aż do ich wierzchołków. Z drugiej strony Morze Śródziemne toczy fale, jakgdyby lapis lazuli, z ametystów, szmaragdów, wśród których wydobywa się, to tu, to tam, śnieżno biały bałwan piany. Wprost przed oczyma podróżnika ukazuje się malowniczy wąwóz, u którego stóp

rozsiadła się Mentona, zataczając szerokie półkole między przylądkiem Bordighera a przylądkiem Cap Martin.

Mentone, położone na wybrzeżu morza u stóp Alp Nadmorskich, może być pod względem historycznym porównane do skały, o której stopy biją nieustannie piętrzące się balwany; przecież przed laty kilkunastu uspokoiło się tu wszystko i dlatego dają tu z różnych stron Europy ci właśnie, którzy chcą używać ciszy, oddychać łagodnym, balsamicznym powietrzem. Od ósmego stulecia, kiedy liguryjcy rozbójnicy zbierali się tutaj dla łącznych wypraw przeciwko Saracenom, aż do szesnastego, w którym Lucyan, książę Monako, przylączył miasto, liczące już kilka wieków, do swego księstwa, Mentona była wciąż miejscem wewnętrznych zatargów, a zarazem przedmiotem zewnętrznych pożądań drapieżnych, chciwych władzy awanturników. I późniejsze miejsca tego dzieje są również pełne scen gwałtownych, wypadków romantycznych. Tehórliwy a pożądlivej natury Andrzej Doria, pragnąc podbić pod władzę swoją Monako, żyjące w stanie ciągłych walk i rozterek, a nie śmiać narażać się na działa silnej jego twierdzy, rzucił się na bezbronną Mentonę, złupił ją i spalił. Za czasów pierwszej republiki francuskiej Mentona wraz z Monako dostała się pod panowanie Francji i dopiero w 1815 r. oderwana od niej, przyjąć musiała innego pana: chciwego jak kramarz i wszystkim też handlującego, Honorjusza V, który przez lat dwadzieścia pięć wyciskał z jej mieszkańców grosz ostatni. Następca jego, książę Florestan, nie był lepszym: przy objęciu rządów wymuszono na nim obietnicę zmian w administracji, których nigdy nie dokonał, mieszkając niemal ciągle w Paryżu, i gdy raz przybył do ojczyzny, 6.000 ludzi otoczyło jego pałac, wołając chleba. Obiecał przeprowadzić zmiany w administracji, lecz potajemnie wysłał do Sardynii, do Karola Alberta, prosząc o pomoc sąsiadzką, którą uzyskał, z takim przecież skutkiem, że ludność Mentony wyszła naprzeciwko wojsk sardyńskich z chlebem i solą, niosąc przed sobą popiersie Karola Alberta, uwiecznione wawrzynem. Generał dowodzący nie mógł odpowiedzieć na to bagnietami: wszedł do miasta jako przyjaciel, d. 2 Marca 1848 r. utworzył z tona mieszkańców rząd tymczasowy; wkrótce też Mentona wraz z przyległym miasteczkiem Roceobruna, została ogłoszona miastem wolnym pod protektorem Sardynii. Prezydentem został hr. Trenea, i aż do jego zgonu w 1853 r. miasto i jego okrag używały spokoju i dobrobytu, bo człowiek był rozumny i szlachetny.

W 1860 r. podpisanym został w Villa Franca traktat, mocą którego Francja dostawała, za pomoc daną Włochom przeciwko Austriakom pod Solferino i Magenta, Niceę i Mentonę. Cavour uważał to sobie za wielką wygraną, ale Garibaldi, bynajmniej nie polityk, przytem urodzony w Nizy, nigdy mu tego zapomnieć nie mógł. Mentona jest też rzeczywiście i to dotychczas miastem wskroś włoskiem przez język i obyczaje swojej ludności, jakkolwiek mnóstwo zjeżdżających tu ludzi czyni ją dla oka podróżników kosmopolityczną. Wiele osób słabego zdrowia, piersiowych, a nawet już suchotników, przybywa tu dla oddychania zawsze jednocześnie ciepłym, balsamicznym powietrzem, przecież miasto nie przedstawia bynajmniej pęsnego obrazu miejsca, gdzieby przybywający witany był smutnem napomnieniem: — *Memento mori...*

Przeciwnie. Hotele i tak zwane tu pensje, to jest pomieszczenia w domach prywatnych, są zawsze o te czasy pełne ludzi, których jedyną chorobą jest gwałtowna chęć pozbycia się posiadanych pieniędzy. Sąsiedztwo Monte Carlo i Monako, oraz Nicei i Cannes, których sklepy gromadzą corocznie wszystko, co może być pokusą dla osób za słabych, aby się oprzeć mogły chętkom używania i zbytku, oraz niezmierną wygodą w pysznych hotelach, gdzie ludziom chcąym żyć rozkosznie może zabraknąć chyba ptasiego mleka — wszystko to ściaga tu rok za rokiem tysiące łaknących używania, łaknących istnienia o wrażeniach wyłącznie przyjemnych. Popularności Mentony, ulubienia jej przez ludzi w tych sferach, dowodzi najlepiej fakt, że nie zmniejszały liczby przybyszów, nie od-

straszyły ich trzęsienia ziemi, które dziesięć lat temu zniszczyły Ischią i zagroziły ruiną połowie Włoch. Najwytworniejszy i największy, najwspanialszy hotel Mentony: Grand Hôtel du Louvre, runął: mury jego rozpadły się na kawałki: przecież przedziuteczko podniósł się, dźwignął nanowo, a nawet rozszerzył się, bo dodano mu jedno skrzydło więcej i ośm miesięcy czasu starczyło na to, aby nietylko ten najwspanialszy budynek miasta zmartwychwstał. Budują tu wciąż nowe wille, nowe pałace, i szczęściem dla mieszkańców tutejszych tegoroczne trzęsienie ziemi, które dotknęło Rzym i Kampanię, nie dało się czuć w Mentonie.

Trzeba też przyznać, że wprawdzie piersiowym, których choroba już jest rozwinięta, Mentona może przynosić jedynie ulgę w cierpieniu i czynić śmierć łagodniejszą, ale na bronchitis, na reumatyzmy, na podagrę, na skrofule, klimat tutejszy działa cudownie i w ogóle limfatycy odnoszą tu wielkie polepszenie na zdrowiu; ale za to osoby nerwowe cierpią tu jeszcze silniej, — że przecież nerwy są obecnie modną chorobą, zwłaszcza pań naszych, nie powinny tu przybywać kwoli tej modzie właśnie.

Mentona, biorąc rzecz ogólnie, jest rajem ziemskim ale głównie zimą i latem; wcześniejszą wiosną temperatura bywa często zmienną, panują chłodne przewiewy wiatrów, jesienią zaś padają tu deszcze, przypominające potop. Biorąc rzecz ogólnie, różnica między zimą i latem nie przechodzi tu nigdy dzięki zasłonie, które dają Alpy, siedemnastu stopni. Najniższa temperatura zimowa jest tu 9.6°, letnia 26.6°. W przeciągu lat dwudziestu siedmiu termometr spadł tylko trzy razy, i to na parę godzin, do zera. W czasie znowu upałów letnich orzeźwiający wyziewy, które morze przesyła ziemi, niosą tu chłód łagodny. Jedynie wiatr zachodni bywa niekiedy przykrym. Gwałtowne tchnienie południowego mistralu utracą już siłę swoje, zanim dosięgnie Mentony.

Te wyjątkowo przyjazne warunki klimatu, połączone z niezmierną, można powiedzieć: niesłychaną, urodzajnością tutejszych drzew cytrynowych i doskonałością ich owoców, czynią Mentonę takim w obfitości swojej rajskim sadem cytryn, jak Walencja jest rajskim sadem pomarańcz. Pomarańcze całego tutejszego wybrzeża, tak zwanej Rivieri, rodzą jedynie gatunki niższe, to też przeciętna produkcja cytryn wydaje tu rocznie czterdzieści milionów cytryn, pomarańczę tylko półtora miliona. Letnie cytryny tutejsze, zwane „Verdanie“ nie znajdują się nawet w Sycylii, i produkcja ich ogranicza się jedynie i wyłącznie do okolic Mentony. Dziwnie pięknym w obfitości swojej jest widok tutejszych drzew cytrynowych, rosnących wzdłuż wąwozów, które cały okragły rok okryte są razem kwiatem i owocem, czego nie spotyka się już nigdzieindziej, nawet w Sycylii. Cytryna jest najdelikatniejszą i można powiedzieć najkapsylniejszym drzewem owocowym. Cierpi, gdy rok jest zbyt suchy, cierpi skoro chmury zasłaniają nazbyt słońce; owoce jej przepadają, gdy jest trzy stopnie niżej zera na termometrze Celjusza, drzewa usychają przy temperaturze pięciu stopni zimna. Skutkiem tego sady cytrynowe nie udają się, nie krzewią pomyślnie w Cannes, w Nicei, w Pizie, w okolicach Rzymu a nawet w okolicach Neapolu dla chłodnych przeciągów wiatru; jednak hodują się wybornie i są wyjątkowo urodzajne na stokach pagórków i wśród wąwozów Mentony, które to wąwozy irygują i drenują zarazem trzy białe strumienie górskie.

W ustroniu Mentony drzewo oliwne dostrzymuje towarzystwa drzewu cytrynowemu, ponieważ widzieć je można wszędzie jedno obok drugiego, jak gdyby związane były węzłem przyjaźni i potrzebą obcowania ze sobą. Drzewo oliwne tutejszych okolic jest szczególniejszej dorodnej i cudownie płodne w owoc najdoskonalszy, to też, tak obecnie, jak przed wieki, było i jest ono wielce cenione i szanowane, nietylko przez ludność miejscową, ale nawet wojna oszczędzała je, szanowała, i to nietylko ze względu jego użyteczności. Legenda, tak chrześcijańska, jak pogańska otoczyła drzewo oliwne tą świętością wspomnień, które zawsze przemawiają do człowieka, oddziaływają na niego wtedy

nawet, kiedy przestał wierzyć w to, co tu było gruntem rzeczy. Wzdłuż pasa ziemi, rozciągającego się między Cap Martin i Bordighera, stoją owe drzewa błogosławieństwa, tworząc grupy potężne, i stanowią chwałę, bogactwo, tak dolin, jak wzgórz Mentony. Puie ich są starannie poowiąane w porze chłodnej w stare szmaty i jest między nimi niejedno tego wieku, jakiego dochodzą dęby nasze, a znajdują się i takie, którym legenda przyznaje setki wieków istnienia i metrykę ich wywodzi od czasów przedchrześcijańskich, w których były świętem drzewem Minerwy. Kwitną one w tym miesiącu, a zbiór owoców przypada na Grudzień i Styczeń. Olearnie, w których wytłacza się ich sok drogocenny, są wszystko stare, bardzo malowniczego wyglądu, ale zanieczyszczają odpadkami wytłocznym wody bystrych strumieni górskich, które obracają koła ich maszyn, i woda przybiera kolor atramentu; przecież drzewo to błogosławione żywi lud całych tych okolic dochodem, jaki owoc jego przynosi. Dobry rok, to jest rok urodzaju oliwek, daje 400.000 kilogramów czystej oliwy i 3.600 beczulek tego drogocennego płynu idzie ztąd w świat corocznie.

Bogata to jest kraina, ale ludzie, którzy tu żyją, niezaradni są, niepracowici. Morze Śródziemne pełne jest ryb najwyborniejszych gatunków; przecież jedne tylko sardynki zużytkowują się tutaj jak należy i wszystkie niemal ryby, jakie tu podają gościom w hotelach, sprowadzane są z Paryża.

Jest tak i nie w jednej rzeczy. Można by sądzić, że na tych wybrzeżach morskich, gdzie od wieków panujące trzęsienia ziemi otwierają ludziom jej łono, wzbudziło się ciekawe zajęcie dla skarbów, które kryje — że w interessie nauki czynią się tu jakieśkolwiek poszukiwania. Ale rząd francuski pozostał na to obojętnym. Dzierżawy te, świeżo nabyte, nie są jeszcze, jak to rzecz można, moralnie wcielone do Francji, mieszkańcy zaś pogrążeni są w apatii, o którą nietylko ich wyłącznie oskarżać trzeba. Nie o całą wiorstę drogi od Mentony, ale już poza stacją graniczną Ventimille, więc na gruncie włoskim, odkryto parę tygodni temu trzy skielety olbrzymów — ludzi przedhistorycznych; znaleziono je w pokładzie kruchej skały, nieuszkodzone bynajmniej. Gdy wieść o tem rozniosły dzienniki, zapragnęłam zobaczyć je, spojrzeć choć przez szczelinę jednej mogiły w tajemniczą przeszłość rodu ludzkiego. Przedzierając się przez różne szczytki rozkopalska, pozwalane obojętnie na kupy, znalazłam się wobec przeddziewowego grobowca, wśród którego ujrzałam dwa skielety zadziwiająco ogromne, leżące bratnio obok siebie, trzeci zaś spoczywał, odwrócony od nich grzbietem, i przyznać się muszę, że doznane wrażenie było niewypowiedzianem. Co to za siła musiała mieścić się w tych ludziach, których przeznaczeniem było mocować się z nieznanymi nam dziś potworami, mieć przed oczyma swemi stępy jałowe, albo lasy pełne straszliwego, mocniejszego, niżeli człowiek, zwierza! A cóż gdy podniósł wzrok do góry i ujrzał sklepienie błękitów zasiane miriadami gwiazd, spokojnie nieruchomo świecących nad tym światem, gdzie wrzał bój, a gdzie on jedynie podnosił jednak czoło ku górze? Co on czuł, co myślał, ten ogromny o potężnym kadłubie kościstym praojciec dzisiejszego człowieka? Nad jego mogiłą przeszły wieki, wytworzyły się nowe pokłady gruntu po którym stapa człowiek nowożytny, którego on jedynym potraceniem o ziemię-by rzucił, a który jednak panował nad nim i ujął go w kleszcze mocy swojej, gdyby się naraz spotkali w ostępie puszcy jakiej?

Przyznaję, że widok tych potężnych kości skamieniałych przejął mnie wzruszeniem niewypowiedzianem, i dlatego podaję wam datę tego niezapomnianego nigdy dla mnie zdarzenia. Spojrzałam w te zatracone widnokregi przeszłości d. 14 Marca.

Nad tutejszym światem żywych ludzi zapanowała już wiosna. Chłodne, ostre tchnienie mistralu już przewiało, powietrze jest ciepłe i słońce stopiło śniegi na niższych załomach i dolinach Alp Nadmorskich, łąki ubarwiły się kwiatami, białe skrzydła jachtów, krążących między Niceą a Monte Carlo, widniejąc zdaleka, przesuwają się wzdłuż

brzegów po falach spokojnych, a powietrze jest pełne woni fijołków — serca ludzkie pełne jakiejś nieokreślonej tęsknoty, jaką zawsze budzi wiosna. U was już też zakwitną wkrótce po lasach sasanki, fijołki ukażą się po miedzach i łąkach, z zamorza przyciągną dzikie gęsi, bociany wrócą na stare gniazda; tylko nie jeden człowiek, raz wykolejony, nie wróci do domu swojej młodości i pośle tam jedynie westchnienie tęsknoty.

Już to ci podróżnicy, którzy zawadzili o Monte Carlo, wracać będą pośpiesznie do domu. Nie wątpiście wcale już z gazet, że w kasynie Monte Carlo znaleziono skrzynkę napełnioną dynamitem. Kasyno zostało czasowo zamknięte, dwadzieścia osób aresztowano. Czyja to sprawa? nie wiadomo. W każdym razie popłoch stał się ogromny, a jakkolwiek działanie jest niewątpliwie zbrodnicze, niemniej kieszenie krupierów tej jaskini, gdzie ludzie nie tylko pieniądze stawiali na kartę, ale brudzili sobie dusze, skurczą się niezawodnie, bo do walki z piekłem zbrodniczej chciwości wystąpiła jakaś siła, zdecydowana iść przebojem.

Marya Z...

HAJOTA.

NAD PRZEPAŚCIAMI

(Wrażenia z Gór Afrykańskich).

(Dalszy ciąg).

Po drugiej stronie krateru, pędzony chłodnym północno-wschodnim wiatrem, posuwał się biały tuman mgły, grożąc, że prędzej, niż my, będzie u celu i zasłoni nam widok.

Trzy kwadransy trwała droga na szczyt. Gdyśmy wreszcie na nim stanęli, pierwszą rzeczą, jakąśmy tam zobaczyli, było — któżby się tego spodziewał, na tym grobowcu ognia — żywa istota a zarazem bardzo oryginalne zwierzątko, które krajowcy zwą *Néba*, i dziwne o niem opowiadają legendy. Oile mi wiadomo, nie było ono jeszcze zdefiniowane przez żadnego z naturalistów i zakwalifikowanie go do tej lub owej rodziny ssących należy jeszcze do przyszłości. Zwierzę to, wielkości małego niedźwiedziątka, a nawet z kształtu do niego podobne, ma nadzwyczaj krótkie nogi, wydłużony i ryjkowato zakończony pysk, małpie, nagie uszy, i na środku grzbietu porośnięte gęstym szaro-rudawym futrem, białą, podługą centkę. Bubisi twierdzą, że gdy jedna kropla deszczu upadnie na tę centkę *Néba* zdycha — to też za zbliżaniem się burzy przewraca się ona zawsze nawznak. Przeważnie żyje na drzewach, po których ma się pięć z chyżością wiewiórki; po ziemi jednak rusza się bardzo powoli — z łatwością więc przyszło ją złapać, i z tą żywą pamiątką Piku zaczęliśmy szukać pamiątek martwych, jakie poprzednicy nasi mieli tu zostawić.

Nie umiem wyrazić, a choćbym nawet potrafiła, to-bym nie chciała kłaść w słowa głębokiego i dziwnego wzruszenia, jakiego doznałam, gdy wśród szczątków spróchniałego masztu i zardzewiałego drutu, jakim zapewne przytwierdził tu Pellon flagę hiszpańską; pod małą kupką kamieni odnaleźliśmy nawpół zakopaną w ziemię butelkę, a w niej zwitek papieru, owinięty w zmurszałe płótno.

Trzydzieści lat czekały te ślady ludzkiej ręki, aby inna dłoń sięgnęła po nie, a myśl ludzka przyniosła im bratnie pozdrowienie.

Zwitek ten był tak wilgotnym, że lękaliśmy się otwierać go tutaj; schowawszy go więc troskliwie dla wysuszenia i przeczytania już w domu w obecności generalnego gubernatora hiszpańskich kolonii w Zatoce Gwinejskiej umieściliśmy pod strażą tychsamych kamieni i rosnących obok nich nieśmiertelników, lecz w hermetycznej puszcze nasze własne kartki pisane w dwóch językach: polskim i angielskim, i dosyć oryginalnym piórem

bo moją szpilką do włosów. Okazało się bowiem, że pióro gdzieś na noclegu zostało, i tylko atrament się znalazł.

Następnie mąż mój zabrał się dokonać obserwacji barometrycznych i termometrycznych, będących właściwym celem wyprawy, ja zaś zrywałam nieśmiertelniki, z których uwity bukiet powędrował potem do Hiszpanii jako dar dla królowej regentki.

Przez ten czas mgły obstały nas półkolem, zasłaniając zupełnie północną stronę, z której przyszliśmy, lecz zostawiając widok otwarty na południową, zupełnie nam nieznaną, połowę wyspy. Było to zbiorowisko górskich piasków z przewalającymi się pośród nich kłębami mgieł. Brzegów morza niepodobna było dostrzec. Wszystko tonało w chmurach; Clarence Peak zdawał się podniebną wyspą na tym szarym oceanie, gdzie-niegdzie tylko rafami poprzedzianym.

Posiliwszy się trochę żywności, zabraną na wszelki wypadek z noclegu, gdzie według zarządzeń Scotta mieliśmy jakoby o południu powrócić, spojrzeliśmy na zegarek. Była godzina w pół do czwartej. Należało bezzwłocznie schodzić. Teraz dopiero poraz pierwszy cała groza położenia stanęła nam przed oczyma. Byliśmy sami, na wysokości przeszło 11.000 stóp, otoczeni mgłami, oddaleni od wszelkiej ludzkiej pomocy, bez żadnych zapasów, z jedną i pół butelką mętnej wody na dziesięciuro ludzi, zaprzepaszczeni wśród gąszczów, gdzie tylko świadome oko potrafiłoby dopatrzeć się owej nitki drożnej, co wieszając się nad przepaściami, mogła nas wywieść z labiryntu, a gdzie jeden krok w niewłaściwym kierunku groził zabłakaniem, a co za tem idzie — śmiercią.

Tutaj dopiero, kiedy myśl i wiedza człowieka cywilizowanego cofnąć się musiały, uznając własną bezsilność, instynkt dzieci lasów wystąpił ze zbawczą potęgą. Krumani nasi jednogłośnie oświadczyli, że trafia na ślad świeżo wytrzebionej przez Tioda ścieżki w leśnej otchłani, a potem i do miejsca ostatniego noclegu. Tam mieliśmy już zastać wodę przyniesioną z Essé, żywność, namiot! Był więc tylko przedewszystkiem dotrzeć do tego punktu, a jutro — zobaczymy!

Zaczęliśmy spuszczać się szybko ze szczytu, zanurzając się w coraz głębsze mgły. Wkrótce mętą ciemną linią zarysowała się przed nami owa przepaść, której zawdzięczaliśmy dezercję pana Scotta.

Serca były nam gwałtownie, naturalnym zresztą niepokojem. Znajdowaliśmy się rzeczywiście na krawędzi naszych losów. Tam w głębi tej otchłani znajdowała się nasza zguba lub ocalenie...

Gąszcze zaczynały się dopiero niżej; z początku zarośla były dosyć rzadko rozrzucone. Co będzie, jeżeli najroztropniejszy z naszych krumanów, idący przodem, omyli się jednak i wejdzie o metr na-prawo lub o metr na-lewo od tej właśnie kępy, zpoza której wyszliśmy tu przed paru godzinami? Nie łatwiejszego nad taką omyłkę wobec wyciągniętej linii krzaków identycznie do siebie podobnych i we mgle tonących.

Raz zaś wszedłszy pomiędzy nie, a wszedłszy mylnie, możemy się błąkać do jutra, do pojutrze, aż do ostatecznego wyczerpania z głodu, pragnienia i trudu....

Mimowoli prawie, jednym uczuciem wiedzione, ręce nasze spotkały się w uścisku, który mówił wymowniej, niż słowa:

Razem do śmierci!

Nieskończenie długim, a przecież nie więcej, niż kwadrans trwającym, było krążenie wśród omgłonych zarośli, które coraz stawały się gęstsze, wyższe, stopniowo zamieniając się w drzewa, aż obstał nas zbity mur roślinny, a wskroś niego, o radości! ujrzeliśmy ślady kotłasów i połamane gałęzie ścielące nam wązki szlak poszukiwanego przejścia.

Od tej chwili szliśmy już pewnym krokiem, a gdy około wpół do siódmej znaleźliśmy się znowu przed namiotem, odpoczywając u ogniska, przy którym gotowało się jedzenie dla naszych wygłodzonych żołądków i gasząc pragnienie ostatnią butelką wyborowego chłodnego piwa, otwartą dla uczczenia tej chwili, doznawaliśmy uczucia ludzi ocalonych i rozkoszujących się odzyskanem bezpieczeństwa.

Wprawdzie nie było ono jeszcze zupełnie pełnem. Przed nami leżał długi, ciężki marsz w dół górskiej puszczy, zapasy nasze były prawie na wyczerpaniu, mogliśmy się jeszcze nieskończoną ilość razy zabłąkać, czuliśmy jednak, że co najgorsze to zostało już za nami.

Istotnie — w ciągu następnych trzech dni raz tylko zmyliliśmy drogę. Poza tem, krumani oryentowali się zawsze z szybkością i pewnością oka, która nas wprawiała w zdumienie. Gdyby nie oni, byłibyśmy niechybnie zginęli.

(Dokończenie nastąpi).

ALICYA OLIPHANT.

On veut des romans, que ne regarde-t-on à l'histoire? — mawiał stary Guizot, wskazując, ile to w dziejach bywa epizodów romantycznych godnych wstawienia pieśnią i powieścią. Owo zdanie uczzonego polityka Francji nieraz staje nam w myśli, wobec dramatycznej rzeczywistości, której nigdy fantazja ni sztuka nie dorówna. Wspomnieliśmy mianowicie wypisane powyżej słowa, biorąc w rękę bodaj ostatni utwór znanej angielskiej powieściopisarki Margaret Oliphant, która na razie, schodząc z torów, jakich zwykła była trzymać się wyobraźnia angielska w powieści, próbowała postawić sobie niezwykle, trwały pomnik na grobie w opowiadaniu p. t. *Memoire of the life of Laurence Oliphant and of Alice Oliphant his wife*. Dwutomowy ten pamiętnik przeważnie opisuje rozgłosne dzieje jednego z najświetniejszych współpracowników *Times'a*, który jako *war-correspondent* uczestniczył niemal we wszystkich wojnach drugiej wieku naszego połowy, a jako woluntaryusz w dyplomacji składał na przeróżnych polach dowody zręczności i biegłości niepospolitej w obranym zawodzie. Świetne opisy zwiedzanych krajów i miejscowości, misternie utkane powieści, uczzone rozprawy, wymowne odczyty, a nadewszystko wdzięk osobisty, dowcip i rozum — wszystko to razem wzięte pasowało Wawrzyńca Oliphanta, potomka możnej szkockiej rodziny, na lwa salonów, bohatera towarzystwa angielskiego, ulubieńca wszystkich sfer dworskich, urzędowych, literackich, arystokratycznych i politycznych. Przesycony powodzeniem, uwieńczyć je miał już na arenie parlamentarnej, kiedy nagle zniknął z widowni i przyjaciele dowiedzieli się, iż rzuciwszy i zdeptawszy wszystko, co dotąd było mu drogim i miłym, uległ wpływowi nieznanego amerykańskiego *predykanta*, który go pięknymi hasłami i pozornie najczystsza doktryną zniewolił do porzucenia salonów i pałaców sterczących dumnie i zejścia do ubogiej nad jeziorem Erie chaty, gdzie kwintny angielski młodzieniec użyty był do trudów folwarcznych i przez lat kilka pracował jak prosty parobek.

Pod osłoną jakiejś mętnej religijności, urobionej ze spirytyzmu i utylitaryzmu zarazem, mistrz amerykański wskazywał zwolennikom swoim drogę doskonałości i doskonałość modlitwy w pracy ciągłej, ciężkiej, znoјnej, gnębiącej. Im więcej znużenia i upokorzenia, tem pewniejsze miały być korzyści duchowe, a mianowicie zupełnie — *wdechowanie* Boga, przyjmowanie Bożego technienia w przemieniający się stopniowo organizm ludzki. Bałamutna doktryna czarowała dusze pozyskane zręcznością karności, niejakiego Harriisa, który w końcu pokazał się tylko najprostszym szarlatanem i wyzyskiwaczem; ujarzmiwszy bowiem wolę uczniów, nie tylko już ich własnością i wolnością rozporządzał, lecz i sił ich używał ku stworzeniu nowej niwy na ziemi Jeruzalem, tymczasem na wzorową fermę zamienionej, skutkiem przymusowej pracy pokutujących i „Bogiem odychających“ współbraci.

Kto zna dumę angielską, hardość synów Albionu — ten zmierzy ofiarę i zasługę owego koryfeu-

sza salonów, przerzucanego żądzą poświęcenia i udoskonalenia wewnętrznego na drugą półkulę, i pracującego w ciężkim znoju, bądź dla sprostania przeznaczeniu, narzucającemu trud w pocie czoła, bądź dla stłumienia w sobie przyrodzonych skłonności do lenistwa czy dumy, bądź wreszcie dla spełnienia rodzaju soeyalnego apostołstwa, dobrowolnem obraniem niedostatku i niedoli, w której jęczy rzesza wydziedziczonych. Praca dla bliźnich nie starczyła, praca z bliźnimi, z ubogimi, ubóstwo dobrowolne obrane i przyjęte—oto zakon miłości, miłości *altruizmem* nazwanej, do którego się Oliphant zapalił i w którym wytrwał. Raz po raz także prądy przechodzą dreszczem ludzkości. Dość przypomnieć wiek XII i XIII i rozmiłowanie się w ubóstwie serafickiego Franciszka z Assyżu. Jemu atoli wystarczały stare Boże przykazania, które chorym umysłem XIX stulecia wydają się niedostatecznymi i przedawnionymi. Nowy zakon amerykański nie uwzględniał potrzeb ani serca, ani ducha, bezwzględnie deptał przyrodzone pociechy, rozrywał węzły rodzinne. Za Oliphantem pośpieszyła matka, żadna dzielić poświęcenia synowskie. Niewolno im wszakże było rozmawiać ze sobą ani dzielić się wrażeniami dnia i pracy. Syn wyrzucił nawóz ze stajni; matka, wykwinna lady Oliphant, prała, prasowała, szła dla domowników osady, wrzastającej bujnie nad Erie. Nowy prorok miał o małżeństwie najdziwniejsze pojęcie i nie zachęcał też bynajmniej swych uczniów do zawierania doczesnych związków, tem niebezpieczniejszych, zdaniem jego, że duch w swej pełni składa się wrzekomo z dwóch dla siebie przeznaczonych pierwiastków, które zlewają się ze sobą w jedną na tamtym świecie całość. A nuż chybiony doczesny wybór z *nie-swoją* wiąże nas pół duszą? Co za utrudnienie harmonii zupełnej na tym czy tamtym świecie! Takich mrzonek pełno było i w zasadach i w ustawach nowej sekty, która, zgłębiwszy ciało trudem, i nad duchem ciążyła coraz gestszymi cieniami fałszywych pojęć i wyobrażeń. A jednak prorok Harris musiał posiadać jakiś nieprzeparty urok osobisty, skoro umiał opajęczyć i usidlić tak świetne umysły, przykuwając je do swego rydwanu niegranicznem posłuszeństwem.

Po kilkoletniej próbie, w której Wawrzyniec Oliphant nie utracił przecież pogody i swobody ducha, pomimo najprzykrzejszych warunków osamotnienia i trudu, los przerzucił go do Francji, gdzie dawny korespondent doczekał się zawieruchy ostatniej wojny i znów jako *war-correspondent* odzyskał dawne swoje znane i uznane stanowisko. W Paryżu spotkał się z panną Alicją Lestrangé, której postać dla naszych czytelników odzworować pragniemy. Była to istota wybrana, a niewoliła sobie serca ludzkie urodą, wdziękiem, uczuciem i rozumem—całą istotą swoją. Poklaski świata wcale jej przecież nie wystarczały. Tęskniła za czemś lepszym, marzyła o wielkich poświęceniach, serce jej wzdychało do jakichś krzyków zasług i mąk, któreby bezcelowemu, bezwiednemu dotąd jej życiu nadały świadomość i celowość silnej, indywidualnej, ostro od ogólnego życia odrzynającej się woli. Tak usposobioną, taką duchową przemianę przebywającą, poznał, ocenił — i ukochał Wawrzyniec Oliphant, a ukochał tą miłością płomienną a poważną, która się *nel mezzo del cammino* (w połowie drogi—życia) pojawia.

Zrozumiały się te dwie równego polotu dusze, a przekonawszy się o wzajemności, jęły zaraz rwać się do ofiar wspólnych. Oliphant narzeczonej opowiedział o przebytej próbie, o zależności swej od proroka nowej sekty Swedenborgianów, o konieczności poddania się Harrisowi, gdyż w tem rzecz, żeby w doczesnem szczęściu i duchową wspólność osiągnąć. Alicja z zapalem odpowiedziała słowem Ruty i przystała do zakonu swego małżonka, godząc się na twarde życie, twarde warunki, jakie jej postawił predykant, krzywym patrzącym okiem na związek tych dwóch wybranych i podniosłych istot, jakby się lękał, żeby w jego matactwach wedłowe nie przejrżeli. Ale nadto oboje oni byli szlachetni, a zarazem i czyści, niezrażeni kłamstwem, aby podejrzewać dobrą wiarę proroka. Wawrzyniec, który swą próbę mężnem zniósł był sercem, drżał na myśl nowicyatu zgotowanego Alicji; z niepokojem przywiózł ją do Brocton, owej nowej Jerozolimy, gdzie obok świekry, chyłającej się do starości lady

Oliphant, synowa zaczęła z dawnym światłem i światowem rozwodzić się życiem, aby służyć ubogim członkom rzekomego falansteru, utrzymywanego przeważnie kosztem obu małżonków, którzy w tej osadzie małuczkiej, niemal sami jedni przedstawiali kapitał grosza i kultury. Ciężko przychodziło młodej a wykwintej Angielce nagiąć się do obcych jej a ciężkich robót, ale taki żar płonął w jej sercu, tak podlegała hypnotycznemu bodaj wpływom proroka, tak się jednoczyła z przekonaniami i praktykami męża, iż nie targowała się o nie — cierpliwie i wesołym sercem kształcając się w tym altruizmie, dziwacznym pojętym i stosowanym, który o tyle trudniejsze stawiał życiu warunki od szersze, poprostu, podawnemu pojmowanej miłości bliźniego.

Tymczasem Harris żywił wciąż nieufność do stadła ostatecznie wbrew jego woli skojarzonego. Usiłował małżonków coraz bardziej rozdzielać, coraz częściej rozłączać. Podczas gdy prawdziwa religia zwykła uswiecać rodzinne węzły i pożyć, fałszywe doktryny wiecznie podkopują najświętsze pojęcia doczesnego, domowego porządku. Harris zaczął tedy stawiać przeróżne utrudnienia wspólnemu Oliphantów życiu: Alicję przerzucił do Kalifornii, gdzie powstawało nowe ognisko sekty; Wawrzynca używał do finansowych przedsięwzięstw, w które on wnosił swój zmysł czujny, ostry, praktyczny, a imponował amerykańskim spekulantom kryształową, nieprzypuszczającą cienia niejasnego interessu, uczciwością i delikatnością, przed którą nawet taki potentat, jak Jay Gould skłonić się musiał. Mieć takie talenta w swej grze podstępnej—było dla Harrisza niemałą korzyścią.

Zdała od męża, oderwana od niego przemocą duchową, Alicja dawała tymczasem lekye ubogiej kalifornijskiej diatwie i wzbudzała fanatyczne dla siebie uwielbienie na tych dalekich kresach, wśród nowopowstającej kolonii „Oliphant.“ Wcale ziemskie powodzenia jej męża zapewniały niebiańskiej Jerozolimie nad Erie wielkie materyalne korzyści. Ale już się zaczynała rwać sieć osnuta zmyślną ręką przebiegłego proroka; struna nadto naprężona niedługo pęknąć musiała. Chytry Harris jął niepokoić małżonków twierdzeniem, iż nie stanowił duchowej całości i pomylił się w wyborze, iż że druga część duszy Oliphanta na tamtym, nie na tym, znajdowała się świecie. Łatwowierny i obalamucony Wawrzyniec tak dobrze uwierzył, iż zaczął mieć spirytystyczne stosunki z ową duchową towarzyszką zza świata, która mu nawet była natchnieniem w klejeniu bardzo niejasnych i niemądrych wierszy, całkiem różnych od jego przejrzystej i barwnej prozy.

Wtem piorunem w niego uderzyła wieść, iż lady Oliphant matka w samotnem dogorywa opuszczeniu, i że żony zdrowie szwankuje wśród trudów nauczycielskiego zawodu, na wygnaniu dalekiem, za Skalistych Gór pasmem. Chciał ukochaną małżonkę odwiedzić, ale mu tego prorok stanowczo zabronił; pośpieszył do łóża chorej matki—i oto bliskość śmierci zerwała osłonę z oczu lady Oliphant: poznała rzetelną wartość mistrza i wpłynęła na przekonania syna swego tak, że rozczarowanie zajęło odrazu miejsce nieograniczonej wiary; ale, rzecz dziwna, nie rozwiła bynajmniej wyznawanych doktryn, nie rozbiło złudzeń, nie zniechęciło do dalszych ofiar. Zważywszy o Harrisie, który im się nareszcie przedstawił jako niesumienny kuglarz, Oliphantowie nie zeszli przecież z raz wytkniętej drogi zaparcia się i poświęcenia. Zmienili tylko formy, zmienili do pewnego stopnia sam program życia, szczęśliwi, że odtąd ręką w rękę będą mogli iść naprzód i poświęcać się razem i ludziom i ludzkości. Zatrzymali się w Anglii, gdzie ich dziwne losy w przeszłości, a niezmierny wdzięk osobisty, powszechną na nich zwrócił uwagę. Nie utracili nic z wrodzonej jakby wykwinności: on w ciężkiej służbie folwarcznej, ona w domowych zabiegach i posługach. Najwyższe koła stolicy rozrywały sobie tak zajmującą parę, a że Oliphant nigdy nie porzucił pióra i wśród największych obłędów duchowych snuł niezależnie od wewnętrznego przełomu pełne życia powieści i opowieści, zachował też nierozzerwaną tę nie tajemniczą, która go raznawawsze wiązała z ziolkami i nie pozwałała im nigdy utracić go z oczu i z pamięci.

Ale już niepodobna było małżonkom wydeptane mi kroczyć ścieżkami, ani też zadawać się powszednim chlebem prostych, blizkich i zwyczajnych powinności. Służyć ubóstwu londyńskiemu byłoby zadaniem prostej, chrześcijańskiej miłości; *altruizm* innych łaknął rzeczy, innych szukał sposobności poświęcenia. W owych-to latach w dziewiątej wieku naszego dziesiątce, jęły się wszędzie mnożyć ruchy antysemityczne. Oliphant oddawna nosił się z myślą ułatwienia Izraelowi powrotu do Palestyny. Bez żadnych dla żydów sympatyj, okrom jednego tylko politowania, z różnych względów pragnął on skutecznie ich zwrotny do ziemi obiecanej z Europy *exodus*. Najprzód łączyło się to w jego duszy z jakimś męmem a mistycznym przeczuć idącego millenium, nowego lat tysiąca, spełniającego bodaj obietnice proroków zakończeniem żydowskiego tułactwa. Sądził przytem, iż jakieś tajemnicze przeznaczenie odjęło Palestynie wszelką rodzajność, którą tylko dłonie jej właściwych a pierwotnych mieszkańców zwrócić zdołają; nareszcie, z tą praktycznością, która się tak dziwnie u niego płątała z mistycyzmem, wskazywał bogactwa Syryi, ongi spiżarni świata, dziś kamieniami przywalonej, którą tak łatwo możnaby odzyskać dla kultury produktów wszystkich stref i krajów. Plany jego znalazły gotowy posłuch w Anglii, gdzie zarządzano olbrzymie składki na rzecz przesładowanych semitów.

Trudniej przyszło zwalczyć niechęć opornego wobec wszelkich nowości rządu tureckiego, który też zwłokami i odroczeniami wyczerpywał zarazem i fundusze i cierpliwość oczekujących napróżno jakiejbądź rezolucji. Pobyt Oliphantów w Konstantynopolu przeciągał się nad miarę, po kilkogodniowym przedtem polycie w Krakowie i Lwowie. Zamieszkawszy w Therapii, obok letnich rezydencji posłów europejskich, Alicja Oliphant miała zakosztować poraż ostatni w życiu rozkoszy komfortu zachodniego i wykwinłego towarzystwa. Lato upływało szybko między przyjaznami domami hr. Corti, margrabiego Noailles i lorda Dufferin, którego małżonka tak jaskrawy obraz Indyi niebawem podać nam miała. Ale mnożąc uprzejme dla Oliphantów względy, dyplomaci bynajmniej nie posuwali sprawy żydowskiej do Palestyny przesiedlenia. Owszem, próbowali raczej zniechęcać Wawrzynca do jego planów kolonizacyjnych. I on sam ucuwał niezdolność żydów do ręcznych trudów i fizycznych zajęć i wysileń, ale tem bardziej się zapalał myślą, iż należało spróbować i powoli ich ćwiczyć w pracy. Podczas owych miesięcy oczekiwania w Konstantynopolu Alicja, zachwycając się widokami na Bosfor i ogrody sultańskie, wspominała przecież, iż nie jest to czas beczynnego wygładzania dalszych postanowień, lecz raczej przygotowanie do dalszych trudów i poświęceń. Mąż studjuje język hebrajski; żona daje lekye niemieckiego kilku dobrowolnym współpracownikom, przygarnia garstkę rozbitków izraelskich—słowem, jak sama pisze, dom Oliphantów tworzy istne mrowisko ustawicznej skrętności, ciągłego ruchu, zwłaszcza, iż pióro Oliphanta podwójnie musi się uwijać, aby zapewnić byt całej osady. Próba z Harrisem niemało nadszarpnęła osobisty jego majątek, a choć uciążliwy proces miał zakończyć religijne ćwiczenia iście poamerykańsku—odszkodowaniem i zwrotem utopionych w Erie funduszy, zawsze była to chwila ciężkich finansowych kłopotów, zdławiająca konieczność usilnej pracy na na polu literackim.

(Dokończenie nastąpi).

Z bieżącej chwili.

— Na posiedzeniu Towarzystwa Archeologicznego w Petersburgu zdana była sprawa z poszukiwań dokonanych w roku ubiegłym w Taurydzie. W jednym z kurhanów w pobliżu Symferopola zna-

lezione drobne ozdoby złote, które, jak przypuścić można, służyły za ozdoby hanom tatarskim.

— W okolicach Kijowa znaleziono w ziemi kości przedpotopowego słonia pierwotnego. Właściciel tego starożytnego zabytku złożył go w muzeum kijowskim.

— Na posiedzeniu Tow. Historycznego w Kijowie w d. 20 zeszłego miesiąca, jeden z członków, p. Jasiński, odczytał „Przegląd najnowszych wydawnictw wileńskiej Kommissyi Archeologicznej“ Archeologiczne Kommissye: wileńska i kijowska, oraz centralne archiwum witebskie, wydały przeszło 100 tomów materyałów, w tej liczbie 73.000 akt, wydobytych przeważnie z trzech głównych archiwów: kijowskiego, wileńskiego i witebskiego, posiadających przeszło 32.000 tomów akt. Archiwum wileńskie posiada 24.445 różnych ksiąg inwentarzy, lustracji, taryf. Jest to najbogatsze archiwum ze wszystkich trzech.

— Wskutek testamentowej woli ś. p. hr. Jana Tyszkiewicza ubodzy uczniowie w Wilnie otrzymują 2.000 rs. zapomogi. Rodzina zmarłego rozdała zarazem owiele znaczniejszą sumę między osoby niezamożne; obok tego przeszło tysiąc ubogich otrzymało jałmużnę. — Otwierają też w miasteczkach okolicznych sklepiki chrześcijańskie tak współkole, jak i przez osoby pojedyncze. W Radoszkowiczach został otwarty sklep z bardzo szczęśliwym skutkiem; podobne sklepiki mają wkrótce powstać w Dolhinowie, Dokszycach i w Gródku.

— Kowieńskie Tow. Dobroczynności ogłosiło sprawozdanie z czynności swoich. Summa wpływu wynosiła 3.535 rs., z której rozdano sposobem jałmużny około 2.000 rs.; na utrzymanie bezpłatnej lecznicy dla najuboższych wydano 840 rs. Nędra panująca w mieście jest wielka i środki Towarzystwa nie mogą zadosyć uczynić wszystkiemu, co by wsparcia potrzebowało.

— Ś. p. Janusz Roztworowski oprócz 105.000 rs. na fundacyę dla niewidomych imienia swego i małżonki swej Karoliny, poczynił liczne zapisy, wśród których: na budowę kościoła Wszystkich Świętych na Grzybowie 3.000 rs., na budowę kościoła na Koszykach Św. Piotra i Pawła 3.000 rs., na ułożenie posadzki przed ołtarzem Matki Boskiej Łaskawej w kościele po pijarskim rs. 100; na jedno łóżko w szpitaliku dzieciennym na Alexandryi rs. 300, (taką samą sumę zapisała poprzednio żona zmarłego Tow. Opieki nad biednymi matkami) zakładowi Magdalenek 3.000 rs. na wydatki b. roku, Krakowskiej Akademii Umiejętności 3.000 rs. na wydanie Słownika języka polskiego; Warsz. Towarz. Sztuk Pięknych na budowę własnego gmachu 3.000 rs.; Kassie zaliczkowo-wkładowej emerytów warszawskich, której był współzałożycielem, 3.000 rs. Ogółem, oprócz głównego zapisu na niewidomych, zapisy na cele filantropijne wyniosły 24.000 rs. Wykonawcą testamentu jest p. Lucyan Wrotnowski.

— Na fundacyę brązowej figury Chrystusa krzyż dźwigającego, mieszczącej się u wejścia do kościoła Ś-go Krzyża, ma być zbieraną składka. O pozwolenie zbierania jej czynią się starania.

— Kommissya restauracyi figury Kopernika na Krakowskim-Przedmieściu składa się: z pp. Cichockiego, budowniczego miasta, budowniczego Pronaszki, inżyniera Okonia. Koszt gruntownej restauracyi, podjętej od fundamentu, wyniesie według kosztorysu 6.000 rs.

— Fotograficzne album Warszawy, złożone z tablic, przedstawiających: targi, zabawy ludowe, obchody religijne, typy wiejskie wydane będzie przez fotografa Brandla. Widoki zostały zdjęte z natury przez aparat błyskawiczny. Album ma być wydane w Paryżu pod tytułem *Życie Warszawy*.

— Obraz Siemiradzkiego „Apoteoza Kopernika“ przeniesiony został z Sali Ratuszowej do Salonu Tow. Sztuk Pięknych. Wdzięcznie udekorowany,

ściaga wciąż oglądających. Przybyło do Salonu Towarzystwa kilkanaście obrazów.

— Reprodukcyę obrazów naszych malarzy ukazują się coraz częściej w ilustrowanych pismach zagranicznych. W Monachium wychodząca ilustracya „Ueber Land und Meer“ zamieściła Wodzińskiego: „Portret damy“, pięknie ilustrowany tygodnik „Illustrirte Zeitung“ podaje Wodzińskiego „Koncert domowy“, oraz plafon Siemiradzkiego „Tryumf Aurory“ i portret tego utalentowanego malarza. W angielskim tygodniku „Illustrated London News“ całą kolumnę zajął obraz Siemiradzkiego „Przyjemne studia“. Francuzka ilustracya „Le Monde Illustré“ oddała naczelną kolumnę utworowi tegoż artysty „Amor i Psyche“, w „Univers Illustré“ powieść Mme Caro zdobną ilustracyę Stan. Rejchana.

— Pomnik ks. Adama Jakubowskiego, niegdyś rektora Pijara, a ostatnio proboszcza parafii Ś-go Krzyża i warszawskiego kanonika metropolitalnego, już został ukończony i wkrótce pomieszczony będzie w kościele Ś-go Krzyża. Był to kapłan i człowiek wysoce szlachetny, uczony, zasłużony na polu wychowania.

— Spadkobiercy ś. p. hr. Augustowej Potockiej ofiarowali na założenie przytułku dla chorych nieuleczalnych 20.000 rs. oraz zebrali w kołach znajomych swoich 15.000 rs. — razem 35.000 rs.

— W lecznicy I-ej przy ulicy Niecałej rozpoczął się z d. 23 kwietnia zapis dzieci, które mają być wysłane na kolonie letnie. Zapis trwać ma tylko do d. 30 bieżącego miesiąca. Zajmuje się nim grono lekarskie złożone z Drów: Tomaszewiczowej, Markiewicz, Natansona i Kosmowskiego. Komitet otrzymał, jak niegdyś za dobroczynnej pamięci, Dra Gustawa Fritsche, deklaracyę kilku zaanych ziemian przyjęcia dzieci na kolonie. Najznaczniejszą tu jest ofiara p. H. Wawelberga, którego kosztem dość znaczna liczba dzieci będzie mogła udać na kąpiele do Ciechocinka. Dr Natanson udał się tam osobiście dla naocznego przekonania się, jak dzieci pomieszczone tam będą. Posiadany na cel kolonii fundusz pozwala wysłać 500 dzieci.

— Z zapisu ś. p. Józefa Kuryerowa, przeznaczonego na nagrody za długoletnią służbę u jednego pracodawcy, otrzymał taką nagrodę w kwocie 50 rs. Walenty Choiński, lokaj, za 25 lat uczciwej służby w jednym domu.

— Otworzona wkrótce zostanie na Nowym Świecie czytelnia, przeznaczona wyłącznie dla dzieci i młodzieży. Czytelnia będzie mieścić książki w kilku językach oprócz naszego i można nazwać nową instytucyą prawdziwie pożyteczną. Dzieci nieco starsze lubią czytać, aby przecież czytanie to przynosiło im korzyść, nie stratę, potrzebnym jest pedagogicznie rozumny dobór książek.

— Ogród Pomologiczny ofiarował sześćset drzewek owocowych dla dwudziestu pięciu ogrodów przy szkółkach wiejskich. Zgłaszający się otrzymają po sześć gruszek, sześć jabłonek różnych odmian, oraz cztery drzewa śliwkowe w dwóch odmianach, cztery drzewka czereśniowe i dwa wiśniowe i dwa brzoskwinie. Dar ten można uważać za znaczny czyn obywatelski; gdzie jest przy chacie ogródek dobrze pielęgnowany, tam już jest w chacie cywilizacya. Szkółki Ogrodu są powiększone, liczą one obecnie drzewek owocowych dwa tysiące i kilkadziesiąt tysięcy płonek w doniczkach.

— Towarzysz podróży Dra Siemiradzkiego do Brazylii, p. Antoni Hempel, przybył do Krakowa, gdzie ma wypowiedzieć kilka odczytów o tej krainie dalekiej, która obecnie zajmuje nas tak silnie.

Na posiedzeniu budowy nowego teatru w Krakowie bawiący tam artysta, z Wiednia przybyły, Tadeusz Rybkowski oświadczył chęć wzięcia udziału w wykonaniu dekoracyi. Złoży on

ofertę wspólnie z firmą wiedeńską Burekhardta, która, jak głoszą wieści, ma otrzymać pierwszą nagrodę konkursową za projekt korynty. W mieście panuje niezadowolenie, że komitet teatralny nie wystawił dotąd na widok publiczny projektów na koryntę. Na froncie gmachu teatralnego umieszczono już dwa duże posągi kamienne kompozycyi Mieczysława Zawiejskiego (brat architekta) przedstawiające poloneza. Postać niewieścia wyobrażająca młodą dziewczynę w spuszczonej na ramiona warkoczach, jest bardzo ładna, wdzięcznie przechylona ku tancerzowi. Postać mężczyzny mniej się udało; dla względów trwałości nie wybrano dołem kamienia, i choć głowa i tors mile się przedstawiają, nogi, uwieszone w kamieniu, rażą. Prócz tych dwóch postaci front będą zdobić dwie wielkie grupy allegoryczne, pomieszczone na attyce a przedstawiające dramat i komedya. Pierwsza jest dziełem T. Błotnickiego, druga A. Dauna. Obie są już wykonane; znawcy są z nich bardzo zadowoleni. Malowanie gmachu wewnątrz powierzono malarzowi dekoracyjnemu z Wiednia, Tuchowi, który malował już w Krakowie kościół maryacki. Budzi to w kołach krakowskich malarzy niezadowolenie; ale komitet teatralny odpowiada, że siły miejscowe nie umiałyby wykonać należyte malatur dekoracyjnych.

— Wystawa przemysłu budowlanego we Lwowie zapowiada się bardzo dobrze. Komitet rozesłał liczne zaproszenia do wzięcia w niej udziału, mianował komitet delegatów i zaprosił do niego wybitniejsze osobistości.

— Prezesem koła literacko-artystycznego we Lwowie został Ludwik Kubala, vice-prezesem hr. Henryk Skarbek.

— Sygurd Wiśniowski, podróżnik i literat, współpracownik pism warszawskich: *Wędrowca*, *Tygodnika Ilustrowanego* i dawniej *Bluszcza*, umarł we Lwowie. Przebywał on czas długi w Ameryce i Oceanii i zostawił ślad podróży swojej w dwóch zajmujących, malowniczo skreślonych książkach, wyszłych w Warszawie: „Dzieci lat w Australii“ i „Dzieci królowej Oceanii“. Następnie osiedlił się w Galicyi i od tej chwili porzucił pióro, zajął się przemysłem naftowym, odzywał się przecież niekiedy w dziennikach, głównie w sprawach przemysłu krajowego, który pragnął rozbudzić. Życie jego było ruchliwe. Rodem z Galicyi, urodzony w 1841 r. we wsi Paniowie nad Zbruczem, w 1858 roku puścił się w podróż do Turcyi, do Grecyi, wrócił do Lwowa, gdzie wstąpił na uniwersytet, ale w 1860 r. znów znajduje się w Turcyi, we Włoszech, służy pod Garibaldim, bierze udział w założeniu szkoły wojсковej w Genui, nakoniec puszcza się przez Anglię do Ameryki, gdzie jest górnikiem, marynarzem, odbywa dalekie podróże. W Ameryce uzyskał miejscowe obywatelstwo, redagował dziennik, posłował w sejmie swego Stanu, aż w 1878 r. przybył do Europy, do Warszawy, gdzie przebywał lat kilka i był współredaktorem *Wędrowca*.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: Arkusz 7-my powieści pod tytułem **Na nowym lądzie**, przez Perfalla. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Emancypacya kobiety.—Fragment, przez Selima.—Pierzchliwy ptak, powieść, przez Kazimierza Glińskiego (dalszy ciąg).—Z Mentony, przez Maryę Z.—Hajota. Nad przepaściami (wrażenia z gór Afrykańskich) (dalszy ciąg).—Alacya Oliphant.—Z bieżącej chwili.—Ogłoszenia.

Dodatek obejmuje: Arkusz 7-my powieści pod tytułem **Na nowym lądzie** przez Perfalla. Przekład z niemieckiego. Przegląd mód. 32 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Suknia krojem „princesse.”

Rycina Nr 28 i 6 w Bl. Nr 15.

Suknia z materyału „diagonal” koloru stalowego i z „surah” w kolorze nieco jaśniejszym, krój „princesse” na fałszywej spódnicy. Dolne nacięcia pokryte „surah.” Stanik podług ryc. w rodzaju bluzki pokryty „surah,” wierzchnia suknia wycięta w formie gorsecika, przybrana pentlicami szmuklerskimi i takimiż dużymi guzikami, epolety ze wstążki jedwabnej z kokardami na ramieniu. Rękawy bufiaste obcisłe w dolnej części z „surah.”

Teczka ozdobiona malowidłem.

Rycina Nr 3 w Bl. Nr 16. (Deseń pierw. str. tabl. Nr V, fig. 28).

Teczka złożona z dwóch części tektury 32 c. wysok. a 21 c. szer., pokrytych wewnątrz jedwabiem koloru białego a na zewnątrz materyałem jedwabnym koloru łososiowego, na czem wykonać malowidło podług fig. 28 farbami wodnymi w cieniu ponsowym i ciemno-brązowym. Część środkowa wypełniona odpowiednim monogramem, wykonanym złotem, tak samo, jak i brzegi teczek. Wstążki umocowane po bokach służą do wiązania teczek.

Patarafka pod wazonikiit.p. (roboty koszykarska).

Rycina Nr 5 w Bl. Nr 16. (Deseń odwrot. str. tabl. Nr XI, fig. 60).

Patarafka, wykonana z drzewa orzechowego odpowiednio wyciętego i ozdobionego rzeźbą podług ryc. fig. 60, następnie powleczonego politurą koloru orzechowego. Po wykonaniu rzeźby, gładką płaszczyznę należy wypoliturować, co nada wyraźniejszy pozór figurom na jasnym drzewie.

Koronka wykonana na drutach.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 16.

Koronkę wykonać białego koloru niemi na założeniu 6 oczek. — 1 kolej: oczko zebrać na drut, 5 o. zwy. — 2 kolej: zebrać o. na drut, 3 o. zwy., 4 razy dr. owin., 2 o. zwy. — 3 kolej: zebrać o. na dr., 1 odw. z nitki założyć. 1 zw. 3 o. zwy. drózką przerob., 4 o. zwy. — 4 kolej: zebrać o. na dr., 9 ocz. zwy. — 5 kolej: zebrać o. na dr., 3 razy naprzemian: dr. owinać, 1 o. odwrotnie, potem 3 o. odwr. razem przerob. — 6 kolej: zebrać o. na dr., 9 o. zwy. — 7 kolej: 4 o. odciąć, przyczem o. zamiast zw. przerabiać odwr., 5 o. zwy. Powtarzać ciągle 2—7 kolei.

Narożnik do poszewki wykonany szydełkiem.

Rycina Nr 8 w Bl. Nr 16.

Narożnik wykonany krętami niemi Nr 60, na założeniu 270 ocz. tam i napowrót, przyczem przy rozpoczęciu każdego nieparzystego rzędu i przy zakończeniu każdego parzystego ciągle 1 ocz. ujmować. Deseń jest bardzo wyraźny a robota znana i łatwa, nie widzimy potrzeby szczegółowego opisu.

Teczka ozdobiona malowidłem i haftem.

Rycina Nr 9 w Bl. Nr 16.

Teczka pokryta pluszem koloru „vieil-or.” Wierz-



Nr 4. Peleryna z sukna ozdobiona koronką i perełkami błyszczącymi (do ryc. Nr 12).



Nr 1. Monogram.



Nr 5. Tylna część sukni Nr 32.

chnia część w stylu „rokoko,” pokryta atlasem koloru białego, częścią haftem. Związana na kokardę z wstążki koloru różowego 2½ c. szer., końce tejże zakończone iglicami pasmanteryjnymi. Malowidło wykonać kolorem brązowym, złotym, zielonym i miedzianym, pajęczynkę złotem, jako też i brzeg. Arabeski i liście częścią kolorem zielonym, częścią miedzianym. Pojedyncze listki cienką sznelą koloru zielonego i rozpolowioną filozelą ścięciem płaskim. Niezapominajki jasno-niebieską i żółtą filozelą, a narożniki kordonkiem żółtym, mocowanym w miejscu skrzyżowania ścięciem obrzucanym. Figury otoczyć złotym sznureczkiem a zwiazanie na kokardę wykonać filozelą różową w dwóch cieniach.

„En tout cas” i parasole letnie.

Rycina Nr 10—19 w Bl. Nr 16.

Parasole z materyałów gładkich i w deseń odpasowany. Rączki z drzewa politurowanego lub kolorów naturalnych, rzeźbione i gładkie.

Suknia spacerowa z kaftanikiem.

Rycina Nr 21 i 22 w Bl. Nr 16.

Suknia z sukna koloru orzechowego, ozdobiona aksamitem tegoż koloru nieco ciemniejszym, złożona z spódnicy i weinanego paltocika do kolan. Żabot z koronki koloru żółtawego. Peleryna podług ry-



Nr 6. Suknia z materyału wełnianego krepowanego (do ryc. Nr 21 w Bl. Nr 8). Opis odwrot. str. tabl.

Nr 7. Suknia z bengaliny i aksamitu ozdobiona koronką.

Nr 8. Suknia z wigoni i aksamitu w „paski” („pékin”). Opis odwrot. str. tabl.

ciny ozdobiona aksamitem z wyłogami w przedniej części.

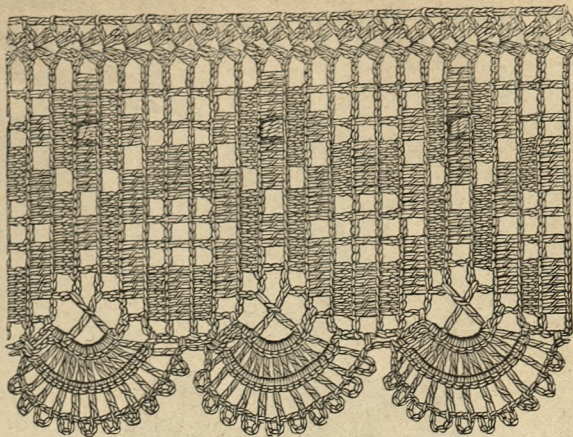
Szlak na krzesła, ozdobę pułek i t. p. (ścieg węgierski).

Rycina Nr 23 w Bl. Nr 16.

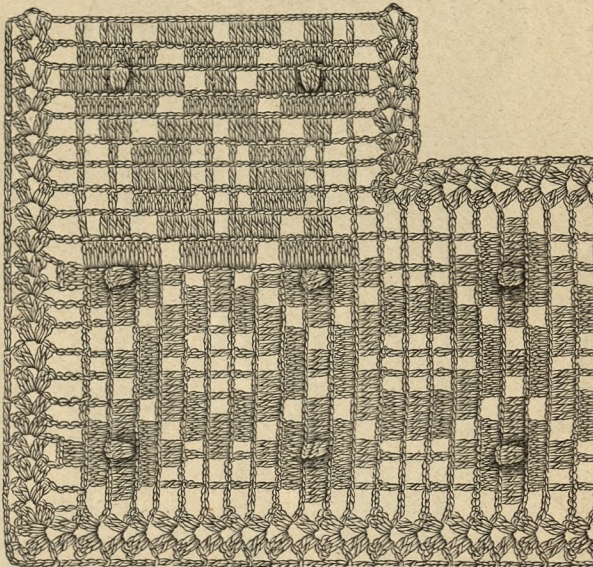
Szlak wykonany na tkaninie kanwowej nie dzielonej, koloru żółtawego, (grubość tkaniny widzialna na jednym z listków konieczyny niewypełnionym) rozmaitego koloru filozelą i cienkim złotym sznureczkiem, ścięciem płaskim i pół krzyżowym. Najprzód wykonać filozelą brązowego koloru ścięciem płaskim podwójne proste rzędy, oraz otaczające spiczaste zęby, przejmując 6 nitki na wysokość, jako też otoczenie figur kwadratowych i gwiazd, przejmując po 2 ścięgi na wysokość. Otoczenie gałązek, oraz figur konieczyny pół krzyżykiem przez 1 nitkę wysokości i szerokości; następnie wypełniać takowe złotym sznureczkiem podwójnym tymże samym ścięciem. Gałęzie wypełniać filozelą ciemną i jaśniejszą koloru niebieskiego ścięciem płaskim ukośnym. Tło figur kwadratowych wykonane w kierunku ukośnym naprzemian przez 6 i 2 nitki tkaniny jedwabiem koloru niebieskiego. Srodkowe tło od gałązek aż do zakończenia zębów spiczastych jedwabiem koloru piaskowego od najciemniejszego do najjaśniejszego, tło zaś poniżej figury zębastej filozelą koloru oliwkowego. Rzędy gwiazdek wypełniać filozelą koloru zielonego, a figury pomiędzy gwiazdami filozelą różową w kilku cieniach ścięciem płaskim przez 6 i 2 nitki tkaniny. Małe kwadraciki ścięciem płaskim filozelą koloru białego a tło jeszcze wolne wypełnić filozelą koloru jasno-oliwkowego.



Nr 11. Przednia część płaszczyka Nr 2 w Bl. Nr 18.



Nr 9. Koronka wykonana szydełkiem (do ryc. Nr 10).



Nr 10. Koronka z narożnikiem na poszewki i t. p. (robota szydełkowa) do ryc. Nr 9.

szego do najjaśniejszego, tło zaś poniżej figury zębastej filozelą koloru oliwkowego. Rzędy gwiazdek wypełniać filozelą koloru zielonego, a figury pomiędzy gwiazdami filozelą różową w kilku cieniach ścięciem płaskim przez 6 i 2 nitki tkaniny. Małe kwadraciki ścięciem płaskim filozelą koloru białego a tło jeszcze wolne wypełnić filozelą koloru jasno-oliwkowego.

Suknia z bluzką i paltotem.

Rycina Nr 2 i 3 (do ryc. Nr 27 i 26 w Bl. Nr 18.

Suknia z materiału „diagonal” koloru granatowego. Bluzka z materiału jedwabnego ponsowego, ozdobiona haftem bułgarskim, wykonanym rozmaitego koloru jedwabiami, sutaszem złotym i sznureczkiem ponsowym. Napierśnik z „diagonal” ozdobiony haftem, pasek podług ryc. odpowiednio przybrany. Paltot zaopatrzony jedwabną podszewką i ozdobiony podług ryc. pletnią złotą.



Nr 12. Przednia część peleryny do ryc. Nr 4.

Suknia z bengaliny i aksamitu ozdobiona koronką

Rycina Nr 7 w Bl. Nr 17.

Suknia z bengaliny koloru żółtawego i z aksamitu koloru brązowego, ozdobiona koronkami koloru „crème,” złożona ze spódnicy i ze stanika krótkiego w przedniej części a krojem „princesse” w tylnej. Spódnica podszyta w całej długości materiałem jedwabnym. Pasek fałdowany z bengaliny.

Suknia krojem „princesse.”

Rycina Nr 13 w Bl. Nr 17.

Suknia z kaszmiru indyjskiego koloru niebieskiego, zaopatrzona podszewką z materiału jedwabnego. Mankiety i kołnierzyk koronkowe.

Suknia z wigoni ozdobiona wstążką.

Rycina Nr 14 w Bl. Nr 17.

Suknia z wigoni koloru rezedowego, złożona ze stanika i spódnicy, ozdobiona napierśnikiem z materiału wełnianego białego i wstążką aksamitną. Lewy bok spódnicy odpowiednio przybrany.

Kapelusz z fantazyjnej pletni.

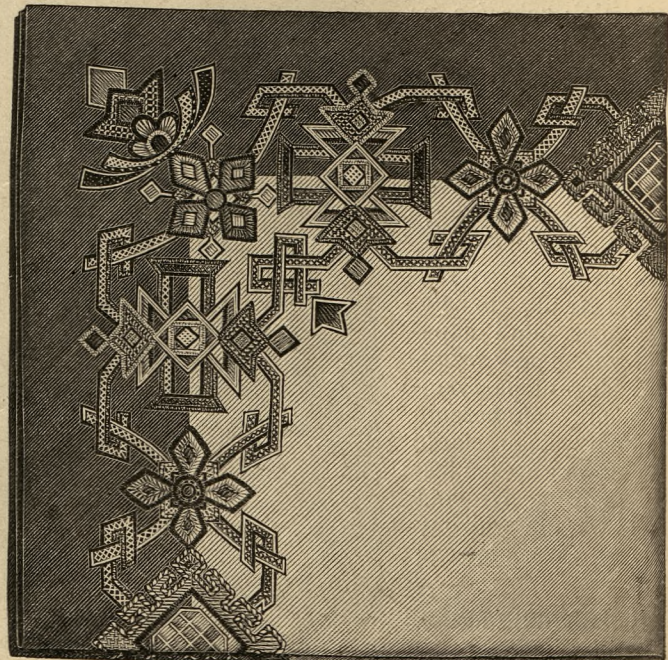
Rycina Nr 26 w Bl. Nr 17.

Kapelusz okrągły płaski z pletni słomianej przezroczystej koloru „bège,” podszyty tiulem koloru brązowego, przybrany tiulem tegoż koloru, bukietami fijołków



Nr 13. Suknia krojem „princesse.”

Nr 14. Suknia z wigoni ozdobiona wstążką



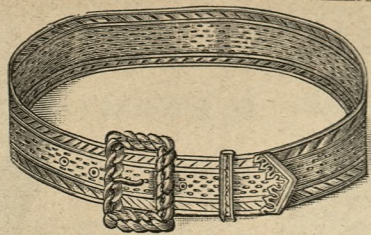
Nr 15. Serwetka ozdobiona haftem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 61).

w ciemniejszym i jaśniejszym kolorze, oraz piórem strusim koloru lila. Aksamitna wstążka 3 cent. szer. służy do wiązania.

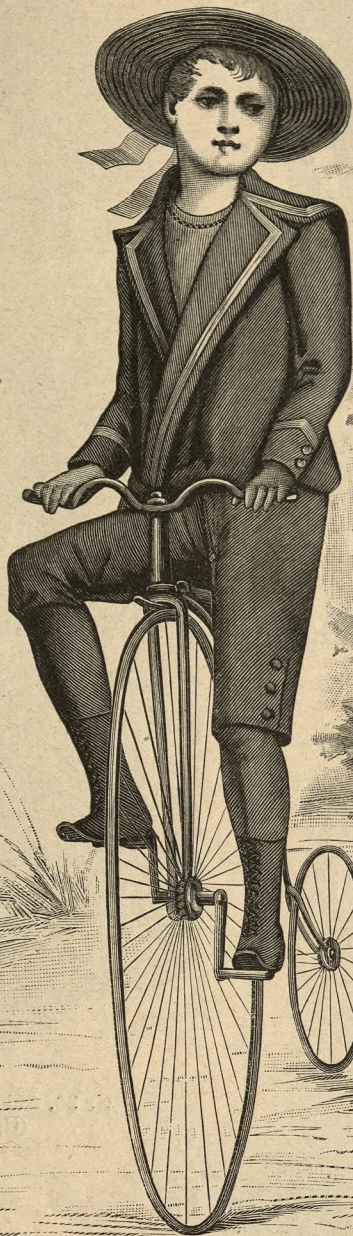
Suknia dla starszej osoby.

Rycina Nr 33 i 28 w Bl. Nr 17. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 40—47).

Suknia z czarnej bengaliny. Spódnica z podszewki 105 cen. dł. z przodu, z tyłu zaś 125, obszyta w dolnym brzegu falbanką wycinaną w ząbki 14 c. szer. Przednia część pokryta bengaliną aż do boków, w dolnym brzegu rozcięta i obszyta czarną koronką 15 cen. szer. Wetman skrajając z podszewki podług fig. 40 a z bengaliny fig. 41 do 44 po dwie części, z których ostatnią należy stosownie do potrzeby przydłużyć w kierunku strzałki. Dalej z bengaliny fig. 47 po dopełnieniu złożenia, a podług fig. 45 dwie części tylko z podszewki, rękawy podług fig. 46 z uwzględnieniem konturu spodnich części. W fig. 40 wykonać zaszewki a w fig. 41 umocować każdy $\frac{1}{2}$ na



Nr 16. Pasek z aluminium.



Nr 18. Ubranie marynarskie dla chłopczyka od 6—8 lat. (Krój odwr. str. tabl. Nr V, fig. 31—39).



Nr 19. Suknia z szewiotu.



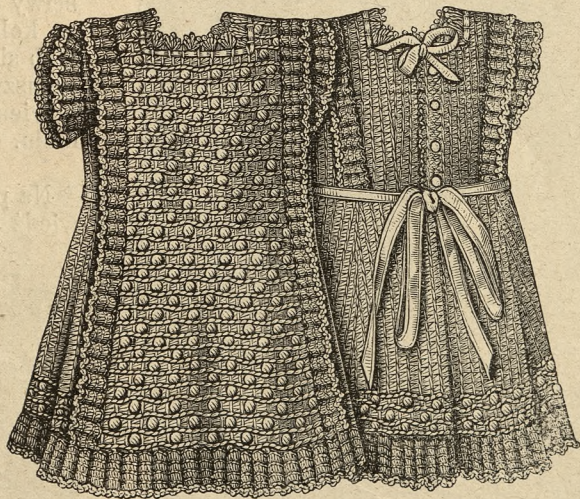
Nr 20. Fartuszek dla panienki od 7—9 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 29 i 30).

kropce, zagiąć materiał wzdłuż linii zgięcia, wykonać wskazane fałdy, przymocować do podszewki, fig. 42—44 zaopatrzyć podszewką. Zeszyć plecy, boczki i przednie części podług cyfr, zaopatrzyć przód w hafki do zapinania. Fig. 45 zaopatrzyć podszewką, przyszyć części od 36 do 29 fig. 40—43, przyczem należy nieco materiał przyciągać od 29 do 37 do pleców wzdłuż linii, gdzie umocować w miejscu oznaczonym * pentelki ze wstążki, a górną część ułożyć w fałdy. Rękawy z podszewki zeszyć od 38 do 39, dolną ich część pokryć bengaliną, górną zmarszczyć od * do *, mocując $\frac{1}{2}$ na kropce. Przyfastrygować do podszewki i wykończyć podług ryc. koronką. Wetman ozdobić koronką podług ryc., oraz pasmanterią 4 c. szer.

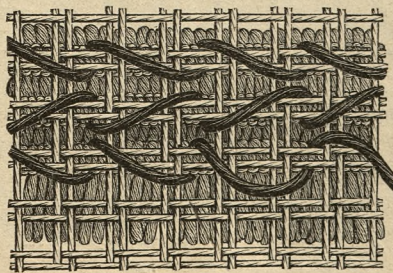
Suknia podróżna z paltotem.

Rycina Nr 30 w Bl. Nr 17.

Suknia z materiału wełnianego angielskiego w paski, złożona z gładkiej spódnicy, takiegoż stanika i z paltocika otwieranego z przodu, zaopatrzonego podszewką jedwabną. Kołnierz stojący i wykładany, oraz kieszenie z aksamitu w odpowiednim kolorze.



Nr 21 i 22. Sukienka wykonana szydełkiem dla dziecka od 1—2 lat. (Kr. odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 51 i 52).



Nr 24. Układ nitki z lewej strony (robota Jafta).

Szkodliwy wpływ noszenia okrągłych grzebieni na porost włosów u dzieci.

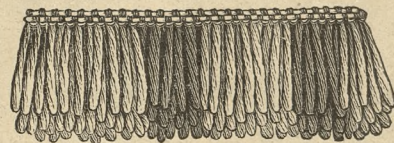
Używanie grzebieni okrągłych dla dzieci okazało się nader zgubnem w następstwach, albowiem nietylko że niekorzystny wpływ wywiera na kształt głowy, gdyż głowa robi się wklęsłą w miejscu, gdzie umieszczony grzebień, ale nadto wydzierają włosy ze skroni i czoła, a dzieci, które przez lat kilka nosiły takowe są teraz łyse do połowy głowy. Wyrugowawszy grzebień nie narażać dziecka jednak na nieprzyjemne opadanie włosów na oczy; najlepiej małym dzieciom zczesać wszystkie włosy na czoło równo obciąć na kształt

jak noszą włościanie, a nietylko że dzieciom jest w tym sposobie strzyżenia do twarzy, ale nadto włosy nie są narażone na żadne nadużycie, a tem samem dobrze się konserwują i zaoszczędzają, a po dojściu do pełnoletności jest ich więcej na przystroj głowy. Przypatrzmy się małemu dziecku, że włosy naturalnym sposobem rozchodząc się na czubku głowy, rosną na wszystkie strony do dołu, zatem najoczywistszy dowód, że włosy zaczesane do góry i związane wspomnianym grzebieniem są targane, a że u małego dziecka słabiej siedzą w oprawie jak u starszych osób, przeto i łatwiej wydzierają się. Z tych więc powodów użycie grzebieni dla małych dzieci zasługuje stanowczo na potępienie i wyrugowanie na zawsze z ich ubrania.

Dziś są już w handlu przepaski rogowe otaczające główkę, ale



Nr 17. Futerałik na okulary z haczykiem do zawieszania przy pasku.



Nr 23. Frendzla do poduszki Nr 25 (wielkość oryginalna).



Nr 25. Poduszka w rodzaju perskim (robota Jafta). (do ryc. Nr 23 i 24).

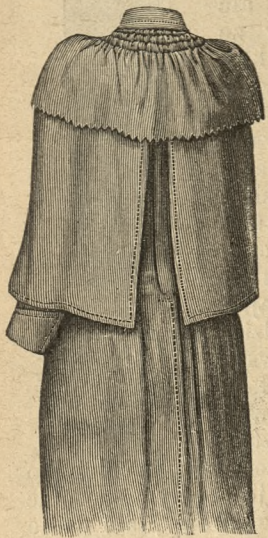
bez zębów z przodu, tylko po dwóch stronach około uszek są małe dla zatrzymania przepaski i te nie są szkodliwe.

Dla dzieci doroślejszych, którym wypada już włosy dłużej zapuszczać, najlepiej przewiązywać aksamitką niezbyt wąską, a w żadnym razie nie zaczesywać w górę, ale lepiej rozdzielać takowe, lecz coraz w innym miejscu i zarazem zwracać baczną uwagę, aby przedziały były równe, t. j. aby włosy nie były pozabierane z jednej na drugą stronę, bo tym sposobem bardzo się niszczą na przedziałach.

L. C.



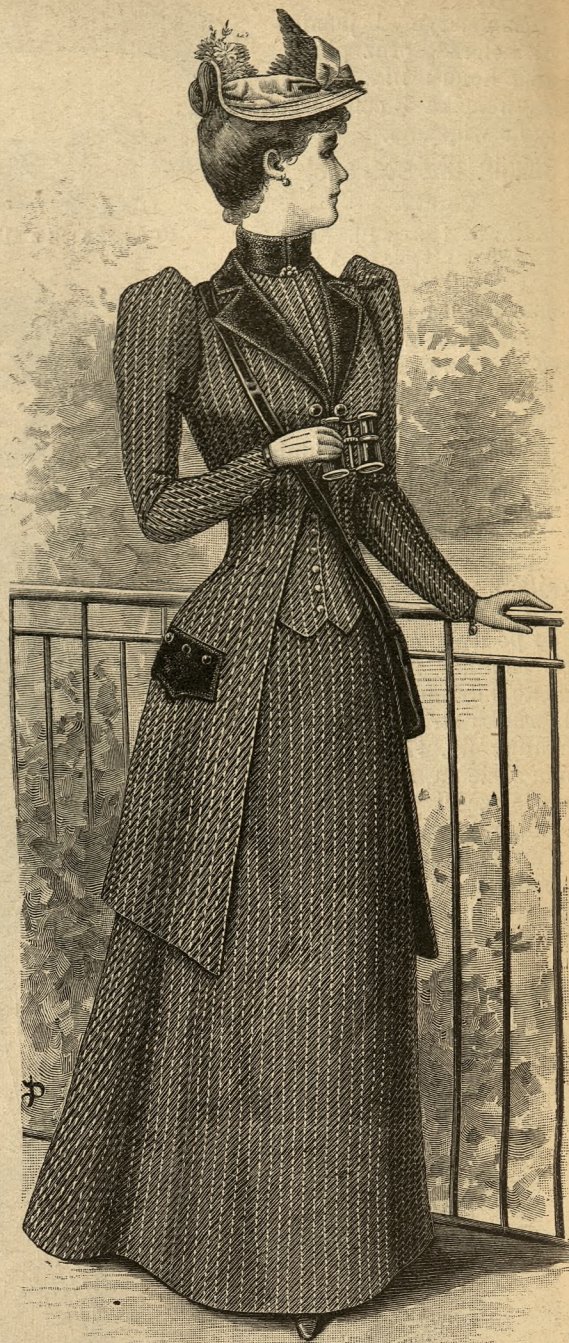
Nr 26. Kapelusz z fantazyjnej słomki.

Nr 29. Płecy do okrycia
Nr 14 w Bl. Nr 18.

Nr 27. Kapelusz z bastu i fantazyjnej słomki.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa „oks-tail“ angielska.
2. Paszteciki w konchach.
3. Sztufada z makaronem.
4. Kalafiory.
5. Kapłon z sałatą.

Nr 30. Suknia podróżna z paltocikiem.
(Opis pierw. str. tabl.)

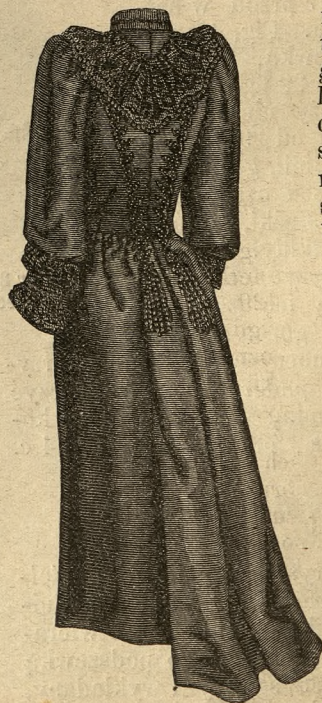
KORESPONDENCYA.

Odp. pani M. wdowie z Poznania.

Wdowa, mająca lat 35 nie powinna brać ślubu w czarnej sukni, jak również nie powinna jak topani sądzić mieć welon z pomarańczowym kwiatem, właściwy tylko dla panny. Najwłaściwiej w kolorowej jedwabnej sukni, jeżeli ślub się odbędzie rano może być w kapeluszu, jednak bez okrycia — byłby to bowiem brak uszanowania dla ceremoniału.

Odp. pani T. B.

Na pytania swoje znajdzie pani odpowiedź w „Bluszczu“ przy opisie kaftaników „figaro.“ Lekkie tkaniny oraz garnirowania i koronki znajdzie pani w składzie pasmanterji „Stifsohn“ ulica Wierzbowa Nr 2.



UWAGA.

Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym numerze „Bluszczu“ podać się mające.

Nr 31. „Suknia dla panienki od 5—7 lat.
(Opis pierw. str. tabl.)Nr 32. Suknia dla starszych pań do Nr 5.
(Opis pierw. str. tabl.)Nr 33. Suknia dla starszych pań
do Nr 28. (Krój odwr. str. tabl. Nr VI,
fig. 40—47).

Nr 28. Płecy do Nr 33.